

Dwutygodnik „Towarzystwa Solidarność”



Katastrofa
„Kościuszki”

Pogląd



Konkubien

**Polska broń
dla "contras"**

Jacek Kalabiński Polska broń dla «contras»	1
Roman Żelazny LOT-em bliżej...?	18
Witold Broniewski Kościół a polityka	21
Robert Zuzowski Pierwszy wolny...	25
Maciej Radwan-Rybiński Prywatne rozmyślenia	29
Stanisław Dawidowicz O „Alternatywie” raz jeszcze – inaczej	33
Anatol Kobyliński Podziemna Poczta Polska – 1944	36
Jochen Schildt „Potrzebuję »cortison«. Zapłać każdą cenę”	38
Zachwiana pozycja gospodarcza...	41
Jerzy Hoffmann Majowy Kreuzberg po polsku...	45
Reformy wciągane przez głowę	49
KONKURS „POGLĄDU” »Witold« Historia bez białych plam	51
Z Kopenhagi...	53
KRONIKA EMIGRACYJNA	54

Oddano do druku dn. 05.06.87r.

interlinie

Okazuje się, że w polityce, gdy w grę wchodzi własne interesy, nie ma sentymentów. Każdy stara się do niego nie dokładać, przeciwnie – zarobić, mając na uwadze zyski polityczne, finansowe, bądź też jakiegokolwiek innego rodzaju. W podobny sposób postępują władze w PRL. Podczas gdy Sowietci dostarczają broni rządowi sandinistowskiemu w Nikaragui, Polacy zbroją «contras», rząd ten zwalczający. Cóż, nawet komuniści zapominają o internacjonalistycznym braterstwie, gdy zaczynają mieć do czynienia z twardymi prawami ekonomii. Zgodnie zresztą z tezą swego „proroka”, Karola Marksa, iż „był kształtuje świadomość” – Jacek Kalabiński, „Polska broń dla «contras»”, str. 1.

„Solidarność” nie była pierwszym niezależnym związkiem zawodowym w PRL. Miała ona swojego poprzednika, starszego o ponad ćwierć wieku. Był to powstały 4. 11. 1956 roku Związek Zawodowy Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich. Oba związki łączyło z pewnością jedno – miejsce powstania. Brzmia one znajomo – Wybrzeże, Gdańsk, Gdynia, Stocznia – Robert Zuzowski, „Pierwszy wolny...”, str. 25.

Polski ruch młodzieży „alternatywnej” jest zjawiskiem złożonym. Po opublikowaniu w numerze 5(126) artykułu na ten temat otrzymaliśmy tekst będący w pewnym sensie polemiką z poprzednim, choć potwierdza on zarazem niektóre tezy tamtego – S. Dawidowicz, „O alternatywie raz jeszcze – inaczej”, str. 33.

W Hiszpanii mówi się „umrzeć w Madrycie”, Włosi powiadają „zobaczyć Neapol i umrzeć”. Słowa, które oddają pełną emocji treść, są metaforą wyrażającą prawie nieskończony zachwyt i przywiązanie do miasta, kraju, narodu. Słowa – symbole. Okazuje się jednak, że nie tylko w Hiszpanii czy Włoszech, również w PRL można umrzeć. Wprawdzie nie z tak wzniosłego powodu, a bardziej prozaicznego, ale wychodzi prawie na to samo. W dzisiejszej Polsce słowami-symbolami są zaklecia widoczne w ogłoszeniach rozklejanych na murach domów: „Potrzebuję »cortison«. Zapłać każdą cenę” – str. 38.

Polska broń dla »contras«

Produktem ubocznym toczących się na waszyngtońskim Kapitolu przesłuchań w sprawie „Irangate” i nielegalnej pomocy dla antysandinistowskich partyzantów w Nikaragui okazuje się coraz więcej materiałów dowodzących, że znaczna część uzbrojenia dla »contras« pochodziła z Polski. Jak wynika z dotychczas udostępnionych dokumentów, władze PRL co najmniej dwukrotnie sprzedały znaczne partie uzbrojenia, które trafiły w ręce »contras«. Z jednego z dokumentów wywnioskować można nawet, że dostaw polskiej broni było nie dwie, a siedem. Nie można zresztą wykluczyć, że niektóre z nich trafiły nie do »contras«, lecz w ręce partyzantów afgańskich. Wszystkich obserwatorów uderza przy tym, jak tanio Polska sprzedawała broń, niejednokrotnie za połowę przeciętnej ceny obowiązującej na światowym rynku handlu bronią.

Pierwsze doniesienia o sprzedaży polskiej broni dla antysandinistowskich partyzantów pojawiły się w *Los Angeles Times* i *Wall Street Journal* w styczniu i lutym. Reporterzy *Los Angeles Times* prześledzili bowiem dziennik okrętowy duńskiego statku „Erria”, który służył jako środek przewozu broni dla Iranu i dla »contras« i wykryli, że statek ten został zakupiony wiosną 1985 r. przez niejakiego Thomasa Clinesa, byłego agenta CIA, działającego na zlecenie płk. Oliviera Northa. Wkrótce potem, pływająca pod banderą panamską „Erria” zawinęła do Gdańska, gdzie przy jednym z odległych nabrzeży wzięła na pokład broń i amunicję produkcji polskiej.



Partyzanci antysandinistowscy: ...13 tys. taśm amunicyjnych — za darmo”.



UZUPEŁNIĆ PROGRAM!

W ramowym programie pobytu Papieża w Trójmieście nie ma ani słowa o pomnikach Poległych Stoczniovców w Gdańsku i Ofiar Grudnia 1970 w Gdyni. (...) Boimy się, że organizatorzy ze strony hierarchii kościelnej mogą w tej sprawie pójść na kompromis w imię tzw. pojednania(?).

RADA NA CO?

Po dkuuuugich dyskusjach, przymiarkach, uzgodnieniach, tajemniczych minach i uroczystych fanfarach — powstała Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa. W ciągu 4 miesięcy istnienia zebrała się dwa razy przy drzwiach zamkniętych. Grono skądinąd dostojnych osób pogawędziło sobie, dało się przez chwilę filmować, obejrzało album malowideł Michała Anioła... i co? Ano nic! Jak było do przewidzenia — wcale nie chodzi o jakiś ruch, lecz o gwizd i na to poszła cała para. Trochę głupio zwazywszy, że ponad 60% składu owej rady stanowią profesorowie. Niestety niczego się nie nauczyli i nie po raz pierwszy dali się wmanewrować w wątpliwą rolę parawanu dla rzeczywistych poczynań władzy.

WYPRZEDAŻ RESZTEK

Od pewnego czasu w TV i gazetach natłok informacji o tworzeniu wspólnych przedsięwzięciach radziec-

ko-polskich. Z tych okrągłych, radośnie-optimistycznych komunikatów wieje grozą. Nie trzeba być fachowcem żeby zrozumieć pomysł „wielkiego brata” na „uruchomienie rezerw” (ulubione powiedzenie czerwonej propagandy) taniej siły roboczej w Polsce. Będziemy więc produkować nie na własny wygłodziły rynek, ale dla ZSRR, zarzynając do reszty nasz wyeksploatowany park maszynowy i ostatecznie przecinając więzy technologiczne z Zachodem. Do końca 1995 r. powstać ma 400-500 „wspólnych” przedsiębiorstw. Jako jedna z pierwszych podpisała porozumienie Huta Katowice — co wyjaśnia w pewnym stopniu alarmujący brak stali dla potrzeb budownictwa, przemysłu okrętowego, spożywczego (opakowania) itd.

Z ŻARNOBYLA...

...nadszły niepokojące wieści. Część fundamentu pod reaktor została wysadzona w powietrze. Jedni twierdzą, że zdecydowała o tym zła jakość cementu zużytego na jego budowę (!); inni, że badania geologiczne zostały błędnie wykonane i grunt pod fundamentem zaczął osiadać. Ponadto radziecki partner wycofuje się z obietnic udostępnienia nam własnych składowisk odpadów radioaktywnych, zaś znalezienie miejsca na nie w gęsto zaludnionej Polsce jest trudne i ryzykowne. Na szczęście, dla tej niezwykle kosztownej inwestycji zaczyna coraz bardziej brakować pieniędzy, może więc uda się powstrzymać igranie z ogniem pod bokiem wielkiej aglomeracji, zanim nie będzie za późno.

(*Nasz Czas*, nr 67, 30. 03. 1987)

SZCZEROŚĆ ZA SZCZEROŚĆ

(...)

Redakcja: Instytut mógłby być socjologicznym zwierciadłem ruchu „Solidarności”. Czy tak jest?

Socjolog: Mamy kilka osiągnięć. Z badań 1984 r. wynika (choć jeszcze nie wszystkie dane są w komputerze), że największy zasięg mass-mediów „Solidarności” ma

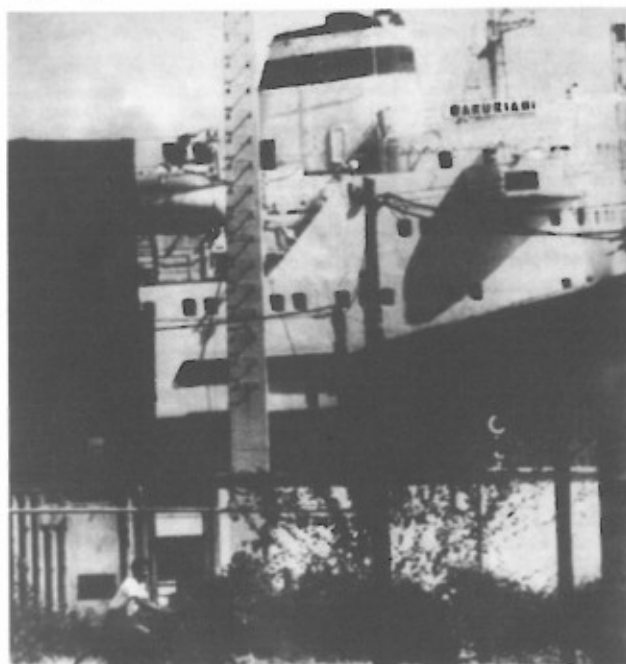
Rzecznik rządu PRL, Jerzy Urban, kilkakrotnie stanowczo zaprzeczył tym doniesieniom. Na konferencji prasowej 28. 04. mówił: „Są to oszczercze twierdzenia. Jeśli chodzi o sprzedaż uzbrojenia, to Polska współpracuje wyłącznie z rządami zaprzyjaźnionych krajów. Wykluczam to, że Polska mogłaby dostarczać broń czy amunicję dla „contras” w Nikaragui. Nie istnieje też żadne prawdopodobieństwo, aby którykolwiek z takich ładunków przeszedł do innego adresata, to znaczy dostarczony był niezgodnie z przeznaczeniem”.

W tydzień później Jerzy Urban grzmiał: „Prasę nadal obiegają twierdzenia, że komisje śledcze Kongresu USA dysponują dowodami dostaw broni z Polski dla „contras”. Proszę, pokażcie te dowody!”

W dwa tygodnie później dowody się znalazły. Przyjaciółka i współpracownica gen. Johna Singlauba, jednego z emerytowanych wojskowych pomagających płk. Northowi w organizowaniu pomocy dla „contras”, niejaka Barbara Studely udostępniła je Kongresowi. Jeden z nich jest spisem ładunku polskiej broni wziętego na pokład „Errii” w Gdańsku. W aktach dochodzenia został on oznaczony numerem JKS-3. Uzupełnieniem jest identyczna lista broni zakupionej wówczas w Polsce, oznaczona numerem AC-4 i podająca również ceny. Lista wycicha wzięte przez „Errię” 10 tys. pistoletów maszynowych typu Kalasznikow po 135 dol. za sztukę, a więc niezwykle tanio; 15 milionów sztuk amunicji do tych pistoletów; 200 dział bezodrzutowych RPG-7 po 1650 dol. i 5000 sztuk amunicji do tych dział po 185 dol. za sztukę; 250 ręcznych karabinów maszynowych Diegtariewa (RKMD-43) po 2000 dolarów. Sprzedawca dorzucił do tego jeszcze 13000 taśm amunicyjnych — za darmo. W sumie za tę partię broni, która pod koniec kwietnia lub na początku maja odplynęła z Gdańska, nabywca zapłacił 4,775 mln dolarów. Lista jest paraflowana i opatrzona adnotacją „OK” przez jednego z przywódców „contras” Adolfo Calero, który podczas przesłuchań w Kongresie stwierdził, że była to broń „zakupiona w Europie Wschodniej”, a następnie dodał, że została ona „wyprodukowana w Polsce”. Na pytanie senatora Heflina, czy nie jest zaskoczony tym, że znaczna część broni kupowanej dla antysandinistowskich partyzantów pochodziła z krajów rządzonych przez marksistów, Calero odrzekł: „Nigdy, przenigdy nie jestem zaskoczony tym, co czynią marksiści” i dodał, że cała ta broń została rozdzielona wśród „contras”.

Następny świadek zeznający w Kongresie, właśnie emerytowany generał John Singlaub stwierdził, że w kwietniu 1985 roku spotkał się w hotelu *Sheraton Carlton* w śródmieściu Waszyngtonu ze wskazanym mu handlarzem bronią, o którym wiedział, że może kupić uzbrojenie w krajach Bloku Wschodniego. Przedłożył wówczas handlarzowi listę broni ustaloną uprzednio z dowódcą wojskowym „contras”, płk. Enrique Bermudezem. Z listy tej skreślono jedynie przenośne rakiety przeciwlotnicze produkcji sowieckiej SAM-7 „Striela”, gdyż sprzedający nie mógł zapewnić instruktorów do nauczania „contras” obsługiwania się tą bronią. Później — jak zeznał gen. Singlaub — rakiety „Striela” zakupił dla „contras” inny emerytowany generał, Richard Secord.

Wróćmy jednak do losów statku „Erria”. Z Gdańska zawinął on do portugalskiego portu Setubal i przy nabrzeżu używanym przez państwową spółkę portugalską „Defex” trudniącą się eksportem broni i amunicji, załadował dodatkową ilość amunicji do Kalasznikowów, wyprodukowanej w Portugalii. Następnie kapitan „Erria” zadeklarował władzom portowym, że płynie do Puerto Barrios w Gwatemali. Zamiast tego jednak „Erria” zawinęła do Puerto Cortes w Hondurasie. Jak zeznał gen. Singlaub, na spotkanie frachtowca wyszedł tam przedstawiciel delegata armii honduraskiej d/s kontaktów z «contras». Przedstawiciel ten był jednak cywilem, obywatelem amerykańskim pochodzenia kubańskiego. Nazywał się Mario Dellamico i jego rola miała znacznie skomplikować dalszy przebieg afery.



Sowiecki frachtowiec „Bakuriani” w porcie nikaraguańskim:
Na sandinistach zarabiają Sowieci....

Dellamico, w którego ręce trafiła pełna dokumentacja przesyłki łącznie z cenami, zorientował się, że kupowana w Polsce broń jest wyjątkowo tania i postanowił włączyć się do transakcji, aby przy okazji coś zarobić i dla siebie. Najpierw skontaktował się z handlarzem broni z Miami na Florydzie, Ronem Martinem. Następnie, jak zeznał w Kongresie gen. Singlaub, Dellamico zatelefonował do niego do Los Angeles z Miami i wymógł na nim spotkanie. W rozmowie w Los Angeles, która miała miejsce we wrześniu 1985 roku Dellamico zażądał, aby dalsze dostawy broni dla «contras» przez Honduras odbywały się za jego pośrednictwem. Singlaub odpowiedział wymijająco, bąknął coś o poziomie cen i zaalarmował płk. Northa. Prawdziwa bomba wybuchła jednak w miesiąc później.

Radio „S” — nadawane na fonii dziennika telewizyjnego — ok. 62%, czyli niewiele mniej niż tzw. oglądalność DTV.

Zasięg czytelnictwa prasy mierzyliśmy nie wprost, bo taki naiwny pomiar jest zwykle zafałszowany. Sprawdzaliśmy raczej, ile ludzie pamiętają z tego, co czytają, pytając np.: kto przyznaje znak „Nasza Polska”? Zdaniem respondentów: „Grunwald” (53%), ZBOWID (48%), „Solidarność Walcząca” (45%), prezydent Rzeczypospolitej (23%), a nawet Rada Najwyższa ZSRR (14%). KOS-a, który jest autorem tej inicjatywy, wymieniło zaledwie 3,2%.

Być może redakcję TM-u zainteresują odpowiedzi na pytanie otwarte: „Co jest napisane pod tytułem Tygodnika Mazowsze?”. Oto kilka brzegu: „Solidarni łączcie się”, „Lech Wałęsa nie da się podzielić”, „Organ Związkowo-Narodowy” czy kuriozalne „Lepiej być zdrowym, młodym i bogatym niż dać się zniszczyć”.

— *To wszystko badania spraw elementarnych, ale raczej powierzchownych...*

— Ostatnio podjęliśmy trudniejsze zadanie określenia, jakie są autorytety polityczne Polaków '87. Zastosowaliśmy nieznaną do tej pory metodę: czytamy autentyczny opis jakiejś osobistości politycznej i pytamy, o kim mowa.

— *Czy można prosić o przykład?*

— Proszę bardzo: „Dominuje nad spotkaniem za pomocą trzech niezwykłych instrumentów: oczu, rąk i głosu. Najpierw ożywiają się oczy. Są ciemnobrązowe. Nie są surowe ani łagodne. Są duże i wyraziste. Ręce spełniają wiele specyficznych funkcji. Prawą ręką trzyma okulary w metalowej oprawie. Czasem, gdy zastanawia się nad doborem słów, bawi się nimi. Lewa ręka mówi dalej. Potrafi on pouczać wskazując jednym palcem, deklarować z dłońią otwartą ku górze lub uderzać kantem w stół, lecz zwasze dość delikatnie. (...) Głos jest niezwykle głęboki, lecz dość łagodny” itd. Oto rozkład odpowiedzi: Jan Paweł II — 86%, Lech Wałęsa — 4,5% (zwracam uwagę na siłę tych autorytetów,

zważywszy, że Papież — co powszechnie wiadomo — nosi szklą kontaktowe, a Lech Wałęsa nie zastanawia się nad doбором słów), Czesław Miłosz — 13%, UFO — 9%, Marek Kotański — 8%, Zbigniew Boniek, prymas Glemp i prezydent Reagan — po 5 %.

— *A o kim to?*

— O Gorbaczowie, cytat z „Time” przedrukowany w „Polityce”.

(Tygodnik Mazowsze, nr 205, 1 IV 1987)

Kraj w prasie zachodniej



KARL DEDECIUS DOKTOREM HONORIS CAUSA KUL-u

Dyrektor Deutsches Polen Institut (Polskiego Instytutu) w Darmstadtzie otrzymał godność doktora honoris causa Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie — pisze *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (18. 05.) przypominając jednocześnie, iż Dedecius przetłumaczył na jęz. niemiecki ponad 70 polskich książek oraz iż jest on wydawcą „Polskiej Biblioteki”, a także autorem licznych esejów literackich i felietonów o Polsce.

Dedecius, który urodził się w Łodzi — pisze *FAZ* — uważany jest w swojej byłej ojczyźnie za aktywnego popularyzatora polskiej literatury zagranicą. *FAZ* przypomina, że tytuły doktora honoris causa KUL-u otrzymał tacy poeci i pisarze jak Jan Parandowski oraz Czesław Miłosz.

O czwartej nad ranem 29. 10. 1985 roku Barbara Studley po otrzymaniu telefonu z Europy, usiadła do maszyny i na papierze firmowym spółki Geo MillTech. Consultants napisała pilny list do płk. Northa. Donosiła ona, że z Europy telefonował handlarz bronią, którego oznaczyła jedynie symbolem „W”, a który pośredniczył przy zakupie broni w Polsce. Można domniemywać, że jest to ten sam człowiek, który spotkał się w kwietniu z gen. Singlaubem w waszyngtońskim hotelu Sheraton Carlton. Otóż „W” donosił, że tego dnia rano czasu europejskiego został on wezwany do ambasady polskiej w Bernie (wprawdzie na udostępnionej prasie kopii dokumentu, noszącego w aktach Kongresu numer JKS-4, nazwy krajów są zaciemnione, ale o jakie kraje chodzi, zeznał gen. Singlaub). Tam zapytano go, czy transport broni, jaki z Gdańska został przez Setubal w Portugalii skierowany do Ameryki Środkowej, był przeznaczony dla »contras«. Oczywiście „W” zaprzeczył temu stanowczo. Wtedy polscy dyplomaci powiedzieli mu o następujących faktach.

W połowie października Mario Dellamico zgłosił się do ambasady PRL w Waszyngtonie i zapytał, czy Polska nie sprzedalaby broni Ronowi Martinowi z przeznaczeniem dla »contras«. Odpowiedziano mu, że absolutnie nie — byłoby to niezgodne z polskim prawem. Wtedy Dellamico pokazał funkcjonariuszom ambasady dokumenty shippingowe „Errii”, które trafiły w jego ręce, gdy 8. 08. przejmował ładunek w Puerto Cortes. A zawierały one spis broni, nazwę statku, daty wchodzenia do portów i wychodzenia z nich, podpis przedstawicieli firmy gen. Singlauba, czyli właśnie Geo MillTech. Consultants. Tego samego dnia współpracownik handlarza „W” został wezwany do ambasady PRL w Wiedniu. Rozmowa miała niemal identyczny przebieg.

„W obu przypadkach — pisała Barbara Studley do Oliviera Northa — Polacy byli bardzo źli. Polska obawia się, że przecieknie to do prasy i spowoduje problemy z Sowiecami. „W” — pisała Studley — miał ważną przesyłkę w porcie i obawiał się, że zostanie ona wstrzymana. Prosił aby powiadomić, że jest to pierwsza z pięciu przesyłek jakich oczekujecie. Później „W” zadzwonił, że przesyłka jednak odeszła. Był wściekły, że jego kontakt, którego zbudowanie zajęło mu wiele czasu i niemało pieniędzy, może się spalić”. Dalej Studley domagała się od Northa, aby podjął środki dla zablokowania Dellaamico i Martina.

Okazało się jednak, że nawet panika, iż wszystko się wyda, wywołana wizytą Dellaamico w ambasadzie PRL w Waszyngtonie, nie powstrzymała strony polskiej od dalszych dostaw dla »contras«. O ile przedtem Warszawa mogła jeszcze tłumaczyć się nieświadomością, to po październikowych rewelacjach stało się to już niemożliwe. A tymczasem, mimo alarmu, 10-11 czerwca 1986 roku „Erria” znów zawięła po ładunek polskiej broni, tym razem do Szczecina. Widać pragnienie zdobycia twardych walut przeważało strach przed Sowiecami. Ze Szczecina „Erria” wzięta ładunek Kalasznikowów, który następnie w porcie Cherbourg we Francji został przeładowany na inny statek, „Icelandic saga”, który dostarczył go do portu Wilmington w amerykańskim stanie Północna Karolina. Tam też broń i amunicja zostały wyładowane. Było to

8. 10. 86. Amunicja została dostarczona pewnemu handlarzowi z Georgii, a broń trafiła — zresztą bez kontroli celnej, wobec czego obecnie prowadzone jest w tej sprawie dochodzenie — do magazynów CIA i Ministerstwa Obrony. Warto dodać, że 8. 10. nie obowiązywały już nałożone przez Kongres Stanów Zjednoczonych zakazy udzielania pomocy wojskowej dla »contras«. Z zeznań gen. Secorda w Kongresie wynika, że ta partia polskiej broni została zakupiona już bez pośrednictwa portugalskiego przedsiębiorstwa „Defex”, natomiast jako przykrywką służyła lipna firma „Defex Freiburg” założona w Szwajcarii przez współnika gen. Secorda, niejakiego Alberta Hakima, który robił interesy na dostawach dla »contras«.



Akcja »contras« w Managui:
...władze PRL ratują swój dług dzięki pieniądзом »contras«.

Co interesujące, to jeszcze jeden udostępniony prasie dokument z akt śledztwa Kongresu. Jest to oznaczone symbolem JKS-5 memorandum firmy Geo MilTech. Consultants do szefa CIA Williama Caseya, wysłane 28. 07. 1986 roku czyli w chwili, gdy druga partia polskich Kałasznikowów spoczywała w ładowniach „Errii”, stojącej na kotwicy koło portu Setubal w Portugalii pod pretekstem kłopotów z silnikiem. Otóż list Caseya zawiera propozycję zakupu nowej partii broni dla »contras«. Singlaub zapewniał szefa CIA, że jego bank w Szwajcarii może udzielić krótkoterminowego kredytu na zakup tej broni. Kredyt miałby być spłacony po odblokowaniu przez Kongres, z początkiem nowego roku budżetowego 1. 09., pieniędzy na uzbrojenie dla »contras«. Na liście oferowanej broni znajdowały się przenośne rakiety przeciwlotnicze SAM-7 „Striela”, wielkokalibrowe karabiny maszynowe, moździerz, działa bezodrzutowe, no i zwyczajowe już 10 tys. Kałasznikowów, tym razem model „komandoski” ze składaną kolbą. Na pierwszy rzut oka droższe, po 135 dol., ale to i tak dalej tanioccha. Wartość transakcji opiewała na sumę 95 805 500 dolarów.

Na tym dokumencie, widać przez przeoczenie, pochodzenie broni nie zostało zaznaczono. Ostatni wiersz zestawienia brzmi — FOB: Poland.

LEO TINDEMANS W POLSCE

Z trzydniową oficjalną wizytą przybył do PRL w dn. 17. 05. minister spraw zagranicznych Belgii i prezes Rady Ministrów Wspólnoty Europejskiej Leo Tindemans. Zwiędził on Kraków i złożył wizytę w Muzeum Martyrologii na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. W Warszawie Tindemans prowadził rozmowy z ministrem spraw zagranicznych Orzechowskim oraz spotkał się z przedstawicielami opozycji. Przed dwoma laty — pisze berliński *Tagesspiegel* (19. 05.) — planowana wizyta Tindemansa w Polsce została odwołana, bowiem rząd PRL zaoponował przeciwko planom belgijskiego polityka spotkania się z przywódcami „Solidarności”.

NZZ (21. 05.) podaje, że Tindemans w imieniu rządu belgijskiego podpisał w Warszawie z rządem PRL umowę o ochronie inwestycji. Na konferencji prasowej w Warszawie wyraził on nadzieję, że poprawi się wymiana handlowa między Polską a Belgią oraz podjęte zostaną rozmowy na temat wspólnych przedsiębiorstw (joint ventures). Tindemans obiecał, że będzie popierał prośbę PRL we Wspólnocie Europejskiej o przydział kredytów oraz udzieli poparcia prośbom kredytowym PRL u członków Klubu Paryskiego. Minister spraw zagranicznych rozmawiał m. in. z Jaruzelskim, premierem Messnerem, jak również z przedstawicielami opozycji i arcybiskupem Krakowa kardynałem Macharskim.

REŻYM OSTRZEGA OPOZYCJĘ

Berliński *Tagesspiegel*, powołując się na doniesienia PAP poinformował, iż reżym w Warszawie, reprezentowany przez wiceministra spraw wewnętrznych Pudysza, ostrzegł opozycjonistów przed próbami podejmowania akcji politycznych podczas trzeciej wizyty papieża w czerwc br. Pudysz powiedział m. in., iż milicja posiada poszlakowe dowody odnośnie planowanych przez opozycję akcji „zakłócenia porządku”. Również obokrajowcom, powiedział wiceminister, co

do których istnieje przypuszczenie, że mogą oni naruszyć bezpieczeństwo i porządek podczas tej wizyty, będą odmawiane wizy wjazdowe. Pudysz podał, iż władze wydały z Polski zatrzymanego w tym miesiącu w Bielsku zamieszkałego w Berlinie Zachodnim obywatela RFN, w aucie którego znaleziono „niebezpieczne przedmioty”. Berlińczyk miał zamiar „zakłócić wizytę papieża”. *Tagesspiegel* zwraca uwagę, iż władze reżymowe nie podały jakie to „niebezpieczne przedmioty” znaleziono w aucie Niemca oraz w jaki sposób chciał on „zakłócić papieską wizytę”.

MOSKWA I WARSZAWA „ODRABIAJĄ” ZALEGŁOŚCI HISTORYCZNE

W Moskwie odbyły się rozmowy wspólnej komisji historycznej PRL i ZSSR na temat usuwania z kart historii wzajemnych stosunków tzw. „białych plam”. Komisja zajmuje się w pierwszym etapie okresem II wojny światowej.

W Polsce, w kręgach historyków i w społeczeństwie często zadaje się pytanie, czy w/w komisja podejmie sprawę Katynia, gdzie w kwietniu 1940 r. odkryto masowe groby ok. 4 tys. oficerów polskich zamordowanych przez Sowietów. Oficjalnie do tej pory milczy się na ten temat. W komunikacie komisji — informuje *Süddeutsche Zeitung* (23./24. 05.) — czytamy, iż „wspólne badania dotyczące różnych aspektów stosunków polsko-sowieckich” kontynuowane będą w listopadzie br. w Warszawie. *SZ* podaje również, iż moskiewski Instytut Marksizmu-Leninizmu przekazał Centralnemu Archiwum PZPR dokumenty dotyczące działalności PPR.

KOLEJNA KRADZIEŻ W KOŚCIELE

W nocy z dn. 19 na 20 maja nieznanymi sprawcami dokonano kradzieży w katedrze św. Jakuba w Szczecinie. Łupem złodziei padł relikwiarz św. Ottona von Bamberg, który był darem arcybiskupstwa w Bambergu dla diecezji szczecińskiej z okazji 850 rocznicy chrztu Pomorza, obchodzonego w roku 1978.

W świetle całej tej dokumentacji co najmniej wątpliwe wydaje się oświadczenie Jerzego Urbana, który na konferencji prasowej 26. 05. 1987 mówił: „To są bzdury. Zaprzeczałem zdecydowanie, że Polska sprzedawała broń przeciwnikom naszych przyjaciół. Zaprzeczenie to potwierdzam z całą mocą. Wszystkie kontrakty o sprzedaży artykułów militarnych, jakie Polska zawiera, mają klauzulę, że polskiego sprzętu wojskowego nie wolno reeksportować do kraju trzeciego bez zgody rządu polskiego. Jeżeli władze USA przekazały władzom polskim dokumentację, o której pisze prasa, będziemy mogli wówczas zbadać czy rzeczywiście którykolwiek z odbiorców polskiego sprzętu militarnego uczynił cokolwiek bez naszej wiedzy, czyli wbrew brzmieniu kontraktu”.

Można zauważyć, że Urban w tym oświadczeniu — w przeciwieństwie do poprzednich — już otwiera sobie furteczkę. Może kto inny, zobaczymy, zbadamy... Faktem jest jednak, że władze PRL doskonale wiedziały dokąd idzie ta broń, przynajmniej od październikowej wizyty Dellamico w ambasadzie PRL w Waszyngtonie i mimo to sprzedawały ją nadal. Nie jest wykluczone, że z dalszych przesłuchań w Kongresie Stanów Zjednoczonych dowiemy się dalszych szczegółów. ■

KOMUNIKAT KLUBU SOLIDARNOŚĆ W MONACHIUM

Jury ogłoszonego przez KLUB SOLIDARNOŚĆ w Monachium konkursu na słuchowisko radiowe, w składzie: Barbara Klimkiewicz, Zdzisław Najder, Piotr Żaluski — jednogłośnie przyznało pierwszą nagrodę słuchowisku pod tytułem *Oczy Lenina* (godło: *Oczy Lenina*).

Trzy dalsze teksty, stanowiące, zdaniem Jury, wartościowy materiał do wykorzystania w radiu, to:

Czekanie na wiosnę (godło: *Czekanie na wiosnę*),

Pluskwa (godło: *Pluskwa*),

Zdrójca (godło: *Mirosław Malewicz*),

Zgodnie z sugestią Jury, zarząd KLUBU SOLIDARNOŚĆ postanowił rozdzielić nagrody w sposób następujący:

Słuchowisko *Oczy Lenina* — 500 DM, słuchowiska: *Czekanie na wiosnę*, *Pluskwa*, *Zdrójca* — po 150 DM.

Po otwarciu kopert oznaczonych godłami okazało się, że autorzy wszystkich nagrodzonych prac mieszkają w Polsce. Zarząd KLUBU SOLIDARNOŚĆ postanowił więc nie publikować ich nazwisk, zapewniając jednocześnie osoby zainteresowane, że nagrody zostaną im doręczone tak szybko, jak to będzie możliwe.

Pragnąc zrehabilitować wydatki związane z wysyłką materiałów na konkurs (znaczna większość nadeszła z Polski) zarząd KLUBU SOLIDARNOŚĆ postanowił przesłać wszystkim autorom prac nie nagrodzonych po 50 DM.

Sprawcy pozostali w kościele po jego zamknięciu i jedyną przeszkodą w dokonaniu kradzieży była kuloodporna szyba ołtarza, którą jednak udało im się bez trudu usunąć.

FAZ (23. 05) informuje, iż władze wojewódzkie w audycji telewizyjnej zwróciły się z apelem do włamywaczy, by nie przetapiali cennej srebrnej szkatuły na złom, jak to miało miejsce w marcu ub. roku, kiedy to skradziono srebrną figurę św. Wojciecha w Gnieźnie.

WSPÓLNE OŚWIADCZENIE ZWIĄZKOWCÓW

W sobotę dn. 23. 05. — jak podaje *Neue Zürcher Zeitung* (26. 05.) — przedstawiciele NSZZ „Solidarność” i chilijskiego Zjednoczonego Ruchu Związkowego (MSU) podpisali w Warszawie wspólne oświadczenie, w którym zażądali od rządów Chile i PRL wprowadzenia pluralizmu związkowego i przeprowadzenia demokratycznych reform.

NZZ podkreśla, że jest to pierwsze tego typu oświadczenie związkowców obu krajów. Berliński lewicowy *TAZ* (25. 05) zwraca uwagę, iż sytuacja w PRL i Chile jest „zdumiewająco podobna”. W obu krajach zwalczane są wszelkie niezależne działania, a dyktatorskie rządy odpowiedzialne są za katastrofalną sytuację gospodarczą.

WRĘCZENIE NAGRÓD POLSKIM DYSYDENTOM

Dnia 22. 05. senator USA Edward Kennedy wręczył nagrodę im. Roberta Kennedy’ego (40 tys. dolarów) dwóm polskim opozycjonistom: Zbigniewowi Bujakowi i Adamowi Michnikowi. Nagroda ta została przyznana im za zasługi w obronie praw człowieka.

Pośmiertnie nagrodzony został również, zamordowany w 1984 r. przez SB ks. Jerzy Popiełuszko — pisze *NZZ* (23./24. 05.).

Wręczenie nagrody odbyło się w misji handlowej USA w Warszawie w obecności ok. 100 czołowych opo-

zycjonistów polskich. W tym samym czasie — ironicznie stwierdza berliński lewicowy *TAZ* (25. 05.) — pięciu młodych ekologów z ruchu „Wolność i Pokój” demonstrowało w Gorzowie Wlkp. przeciwko planom utworzenia depozytu odpadów radioaktywnych w poniemieckich bunkrach w Międzyrzeczcu tuż koło granicy z NRD.

EDWARD KENNEDY: JESTEM POLAKIEM...

Po mszy św. w kościele św. Brygidy w Gdańsku w intencji zamordowanych braci, Johna — byłego prezydenta USA i Roberta — byłego senatora i ministra sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych — Edward Kennedy w obecności ok. 5 tys. entuzjastycznie oklaskujących go osób, wygłosił przemówienie nawiązując do tragicznej śmierci swoich braci poległych w walce o prawa człowieka.

„To jest również wasz cel. Zarówno ja, jak i moja rodzina, jesteśmy dumni z tego, że możemy być tutaj. Jestem Polakiem” — powiedział amerykański polityk parafrazując znaną wypowiedź Johna F. Kennedy’ego, który w czasie pobytu w Berlinie Zachodnim w 1961 r. zakończył swe przemówienie do zgromadzonej ludności słowami: Ich bin ein Berliner (Jestem berlińczykiem). (*Süddeutsche Zeitung*, 25. 05.)

BUNT WIEŹNIÓW W POTULICACH

W nocy z poniedziałku na wtorek (25. 05.) specjalne oddziały milicji (ZOMO) stłumiły przy użyciu gazów łzawiących, armatek wodnych i pałek bunt ok. 1700 więźniów w zakładzie karnym Potulice koło Bydgoszczy — podaje *FAZ* (27. 05.). Jak poinformowała dyrekcja więzienia nikt nie został ranny...

Do buntu doszło o godz. 18.30, po tym jak jednemu z więźniów za „agresywne zachowanie” związane ręce skórzanym paskiem. Na znak protestu współwięźniowie powybijali szyby, wyrzucili przez okna talerze i kubki, po czym zdemolowali cele wyłamując kraty, wyważając drzwi

oraz podkładając ogień. W wyniku buntu zniszczeniu uległo 28 cel.

RUNIĘCIE WIEŻY RATUSZOWEJ W KOLE

W poniedziałek 25. 05. w miejscowości Kolo runęła 30-metrowa, licząca prawie VI wieków wieża ratusza. Tylko wczesnej porze (godz. 5.30) i małemu ruchowi ulicznemu zawdzięczać należy, iż nie było ofiar w ludziach. Ratusz znajduje się w bezpośredniej odległości od ruchliwej, tranzytowej drogi między Wschodem a Zachodem, na której panuje ożywiony ruch.

Wg *Rzeczpospolitej* przyczyną zawalenia się wieży były prawdopodobnie wibracje wywołane przez przejeżdżające ciężarówki.

FAZ (27. 05.) podaje, że miasteczko Kolo leży nad Wartą między Poznaniem a Warszawą i w średniowieczu zaliczało się do znanych ośrodków gospodarczych Wielkopolski, jak również było siedzibą królów.

RFN POMOŻE POLSCE

Rząd zachodniemiecki jest zdecydowany przyjąć Polskę z pomocą w przezwyciężeniu wciąż zastraszających się w tym kraju gospodarczych i finansowych problemów — pisze w *Tagesspiegel* (28. 05.) warszawski korespondent tej gazety Gert Baumgarten.

Jak stwierdził minister gospodarki RFN Bangemann, rząd w Bonn będzie się starał nakłonić rządy 16 państw należących do tzw. Klubu Paryskiego, wobec których PRL jest najbardziej zadłużona, do ułatwienia temu krajowi wyjścia z fatalnego kryzysu w jakim on się znajduje.

Pomoc ta, wg Bangemana, miały polegać na zawarciu generalnej umowy między PRL a państwami Klubu Paryskiego dotyczącej spłaty zadłużenia, jak również dalszej prolongaty terminów wywiązania się Polski z jej zobowiązań płatniczych. RFN jest jednym z najpoważniejszych wierzycieli Polski, bowiem na 17 krajów Klubu Paryskie-

go, którym PRL winna jest 18 mld DM, na RFN przypada 7,9 mld DM.

Polska nie potrafiła od 1981 r. spłacić całości odsetek od zadłużenia. W 1985 r. zaległości te w stosunku do RFN wynosiły 111 mln DM. Bangemann jest zdania, iż należy w Polsce przerwać „diabelski krąg”, w jakim znajduje się gospodarka tego kraju.

Splata zadłużenia możliwa jest tylko wówczas, jeśli Polska będzie więcej eksportować. To zaś niemożliwe jest bez wydzwignięcia gospodarki z kryzysu, co jak wiadomo wymaga znacznych nakładów kapitałowych. Wyjściem z tej sytuacji, zdaniem Bangemanna, byłoby zapewnienie Polsce kilku lat wolnych od spłaty jakichkolwiek zobowiązań finansowych.

Jak długo miałyby to trwać, zależy od planowanych w przyszłości uzgodnień uzgodnień między PRL a krajami Klubu Paryskiego. Na pytanie, jak minister gospodarki RFN ocenia obecny stan polskiej gospodarki oraz szanse przeprowadzenia w PRL odpowiednich reform gospodarczych, nie chciał on wypowiedzieć swojej opinii.

ZACHODNIONIEMIECKA SPD I POLSCY KOMUNISCI RAZEM

Podczas konferencji zorganizowanej w Mrągowie obradujący wspólnie przedstawiciele zachodnioniemieckiej SPD i PZPR osiągnęły jednomyślność poglądów co do powołania tzw. „Europejskiej Rady Odnowy Zaufania”. W Radzie tej, która pozostaje otwarta dla wszystkich państw sygnatariuszy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy

w Helsinkach, mieliby zasiadać wysocy rangą przedstawiciele rządów poszczególnych krajów. Głównym zadaniem zbierającej się dwa razy do roku Rady byłoby podejmowanie politycznych działań zmierzających do uniknięcia i zlikwidowania konfliktów, kryzysów i napięć w sytuacji międzynarodowej. Konferencji w Mrągowie przewodniczyli ze strony polskiej Ryszard Wojna, ze strony niemieckiej znany polityk SPD Horst Ehmke. (*Süddeutsche Zeitung*, 29. 05.)

POLSKI BISKUP PRZECIWKO CENZURZE

Biskup diecezji warszawskiej Kazimierz Romaniuk określił cenzurę w Polsce jako „ponizającą dla obywateli”. Poprzez cenzurę zostaje im odebrane prawo do wolnego wyrażania poglądów. Bp Romaniuk stwierdził, iż Polacy czują się „poniżeni” jeśli gwarantuje im się prawa obywatelskie, z których nie mogą oni skorzystać. (*Die Welt*, 29. 05.)

POLSCY OPOZYCYJNISCI W SOWIECKIM KONSULACIE

Dwóch członków polskiej grupy pacyfistycznej „Wolność i Pokój” zostało 29. 05. przyjętych w sowieckim konsulacie w Krakowie, gdzie odbyli oni długą rozmowę. Członkowie „WIP”, Bogdan Klich i Dariusz Rupiński, przybyli do konsulatu, aby przekazać list skierowany do Gorbaczowa. Ze strony sowieckiej w trwającej 45 minut rozmowie udział wzięło 5 osób. Spotkanie przebiegło w „zaskakująco rzeczowej atmosferze”. Przedstawiono na nim obustronne punkty widzenia dotyczące problemów pokoju i odprężenia.

Sowieccy dyplomaci odmówili przyjęcia i przekazania listu dla Gorbaczowa — pisze *Der Tagesspiegel* (30. 05.).

LWOWSKIE ZBIORY OSSOLINEUM WRACAJĄ DO POLSKI

Władze sowieckie zwróciły Polsce 2400 książek pochodzących ze sławnych zbiorów Biblioteki Ossolińskich we Lwowie.

Większa część tych zbiorów — informuje *Tagesspiegel* (30. 05.) — została po zawarciu odpowiedniej umowy między rządami PRL i ZSSR zwrócona Polsce po wojnie, w 1946 r. W owym czasie zbiory Ossolineum znalazły swoją siedzibę we Wrocławiu.

Wśród obecnie zwróconych książek, które ukazały się między 1801 a 1938 r., znajdują się m. in. dzieła Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego oraz Henryka Sienkiewicza.

POMNIK KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO W WARSZAWIE

27. 05. w godzinach wieczornych prymas Polski kardynał Józef Glemp dokonał podczas wieczornej uroczystej mszy św. odsłonięcia pomnika zmarłego w 1981 r. swego poprzednika na urzędzie prymasowskim, kardynała Wyszyńskiego.

Pomnik wzniesiony został na tzw. trakcie królewskim, w miejscu najliczniej odwiedzanym przez mieszkańców stolicy i gości zagranicznych. Jego wzniesienie zostało sfinansowane z dobrowolnych składek osób prywatnych. (*Tagesspiegel*, 30. 05.) ■

Czytelników zminiaturyzowanych wydań »Poglądu« przepraszamy
za złą jakość reprodukowanych zdjęć.

Utrzymanie jakości zbliżonej do normalnego wydania naszego dwutygodnika
wymagałoby dużych nakładów finansowych,
na które pozwolić sobie nie możemy.

Redakcja

Kraj w prasie PRL



„CUDA” »TELEEKSPRESU«

»Teleekspres« coraz częściej wciska ciemnotę 20 min widzów. Z kozich bobków i kitu jeden weterynarz zrobił lekarstwo, które leczy raka, zaś AIDS i katar przy okazji. Albo — powiada z powagą i przejęciem Rzeszczyński — zaoszczędzić można 150 mln zł, gdyby wraz z pudełkiem zapalek sprzedawać dwie garście zapalek luzem. Można nie tylko to. Brakuje opakowań na makę, cukier, makaron. Ustawiać by w sklepach dozowniki, niech każdy przychodzi z własną torebką. Wystarczy też koszule od przodu. Na

gołych plecach można je ścigać troczkami. Skarpetki bez palców i pięć przyniosłyby oszczędność przędzy. Brakowi papieru toaletowego zaradzić łatwo, gdyby wynaleźć podcieraczki do wielokrotnego prania.

Wystarczy raz nabyć pudełko i kupować potem papierosy luzem. Starczałoby pół krawata na gumce, a reszta to marnowanie tkanin. Tapi-cerka na drzwiach samochodów do niczego nie służy, podobnie jak klapy przy ubraniach i guziki przy mankietach. A po co rondo w kapeluszach, czy ciapki na garnkach? Oszczędności mogą być różnorakie. (*Szpilki*, 9. 04. 87)

CZEKAJĄC NA KACA

Izb wytrzeźwień mamy w kraju 51. Codziennie na pacjentów czeka ponad 2 tys. miejsc. Warszawską, która dysponuje 130 miejscami, każdej doby odwiedza od 30 do 120 „zmęczonych” gości.

Rocznie przebywa tu ok. 18 tys. osób. Ok. 40 % z nich to tacy, którzy „gosczą” tu częściej niż raz w roku, ale ponad 100 to ci, którzy w ciągu ostatnich 5 lat „gościli” tu ponad 20 razy. Kto najwięcej „odwiedza” warszawską izbę wytrzeźwień?

W kolejności: robotnicy, osoby niepracujące, renciści i emeryci, inżynierowie, studenci i uczniowie, nauczyciele, przedstawiciele wolnych zawodów. Prym wiodą kierowcy — ponad 1.100, potem pracownicy zarządów technicznych i kadry kierowniczej, elektrycy i elektromonterzy, pracownicy kultury i oświaty — ponad 180, a połowa z tego to nauczyciele. Przywieziono także 120 nieletnich, w tym 3 dziewczęta. (*Walka Młodych*, 12. 04. 87)

* * *

Andrzej Wajda realizuje film we francuskiej wytwórni Gaumont „Szatani i demony” wg powieści „Biesy” Fiodora Dostojewskiego. Występują m. in. Isabelle Huppert, Bernard Blier, Omar Sharif i Jerzy Radziwiłowicz. (*Film*, 19. 04. 87)

NOWE CENY

Ustalono nowe ceny na kawę i cytryny. Kilogram cytryn sprowadzanych z Włoch będzie kosztował 500 zł, a z Argentyny 600 zł. Natomiast kawa Extra Selekt drożeje o 80 zł za paczkę 10 dkg, czyli 10 dkg tej kawy będzie teraz kosztowało 460 zł. (*Radio Warszawa*, 13. 05. 87)

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

ATAK IRACKICH SAMOLOTÓW
NA AMERYKAŃSKĄ FREGATĘ

W Zatoce Perskiej samoloty irackie typu F-1 Mirage zaatakowały amerykańską fregatę „Stark”, należąca do floty 116 okrętów wojennych USA mających ochraniać ruch handlowy w Cieśninie Ormuz. Statek został trafiony dwiema rakietami typu „Exocet” produkcji francuskiej. Ich wybuch spowodował pożar okrętu i śmierć co najmniej 28 marynarzy — pisze *Tagesspiegel* (19. 05.).

Rząd Iraku w liście do prezydenta Reagana przyznał się do ataku, określając go jednak jako „niezamierzony”. Pentagon jest zdania, iż

lotnicy iraccy uważali, że mają do czynienia ze statkiem irańskim. Nadal pozostaje niejasne, czy kapitan fregaty kazał otworzyć ogień do atakujących samolotów. „Stark” był wyposażony w odpowiednie urządzenia elektroniczne i broń do zwalczania ataków rakietowych.

Jak pisze *FAZ* (20. 05.) na skutek ataku irackich myśliwców liczba śmiertelnych ofiar wśród amerykańskich marynarzy zwiększyła się do 37 osób. Zidentyfikowano zwłoki 22 osób, zaś 15 marynarzy uważa się za zaginionych. Równocześnie wg informacji z Białego Domu okręty US Navy w Zatoce Perskiej postawiono w stan alarmu, co

oznacza, iż mogą one w każdej chwili przystąpić do działań bojowych.

BAWARSKI „CHIŃSKI MUR”
PRZECIWO AIDS

Bawaria jako pierwszy kraj federalny RFN wprowadziła w życie specjalne przepisy dotyczące zwalczania choroby AIDS. Wszyscy cudzoziemcy, za wyjątkiem obywateli Wspólnoty Europejskiej oraz niektórych innych krajów europejskich (Austria, Szwajcaria, Lichtenstein, Norwegia, Finlandia, Islandia i Malta), starający się o pobyt w Bawarii dłuższy niż 3 miesiące, muszą poddać się obowiązkowemu testowi na

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

przeciwiła HIV. Osoby uprawiające prostytucję, zarówno kobiety jak i mężczyźni oraz narkomani, zaliczeni zostali do tzw. grupy wysokiego ryzyka i muszą co 3 miesiące poddawać się badaniom u lekarza urzędowego. Również osoby mające rozpocząć pracę jako urzędnicy państwowi wcześniej muszą poddać się testowi — donosi *Frankfurter Rundschau* (20. 05.)

Decyzja rządu bawarskiego wywołała liczne i gwałtowne protesty w pozostałych krajach federalnych. Chodzi głównie o to, że ustawa przewiduje możliwość stosowania wobec podejrzanych o chorobę przymusu i restrykcji, co zdaniem ekspertów wcale nie przyczyni się do zahamowania liczby nowych zarażeń. Także federalny minister zdrowia, Rita Süßmuth zdecydowanie odrzuciła wszelkie środki przymusu w walce z chorobą AIDS. Takie samo stanowisko zajął Federalny Związek Lekarzy i Dentystów, który obradował na dorocznym kongresie w Saarbrücken.

Natomiast przewodniczący związku przedsiębiorstw asekuracyjnych Hubert Pestenhofer oświadczył, iż osoby chore na AIDS lub zainfekowane jej wirusem nie będą mogły zawierać polis ubezpieczeniowych na życie. Decyzja ta nie dotyczy ubezpieczeń już zawartych. W przyszłości nowe formularze umów będą zawierały pytania odnośnie symptomów chorobowych, które wskazywałyby, iż ubezpieczający się może być chory na AIDS — pisze *Die Welt* (27. 05.).

Również w myśl przepisów wydanych przez ministra spraw wewnętrznych RFN Zimmermanna po raz pierwszy nie zezwolono na wjazd do tego kraju cudzoziemcowi — w tym wypadku obywatelce Senegalu, która uprawia prostytucję, gdyż istniało podejrzenie, że jest ona zarażona wirusem HIV.

NEUTRALNY AFGANISTAN?

Zdaniem Gorbaczowa Związek Sowiecki nie ma nic przeciwko temu, aby żyjący na emigracji były król Afganistanu Mohammed Sahir był również członkiem „rządu koalicyjnego”, o ile Afganistan będzie państwem „neutralnym”. Takiej wypowiedzi udzielił Gorbaczow w wywiadzie dla gazety *Unita*, organu Włoskiej Partii Komunistycznej.

„Związek Sowiecki nie wtrąca się obecnie (ani nie będzie tego czynił w przyszłości) do poszukiwań przez afgańskich towarzyszy możliwości porozumienia narodowego. Mogą oni szukać swoich partnerów do rozmów tak w własnym kraju, jak i wśród uciekinierów czy emigrantów...” — oświadczył Gorbaczow dziennikarzom.

Były król Afganistanu żyje od 1973 roku na emigracji we Włoszech. Zdaniem monachijskiego dziennika *Süddeutsche Zeitung* (21. 05.) nie wszyscy powstańcy afgańscy akceptują byłego króla. Wypowiedź Gorbaczowa jest więc raczej próbą zaostrożenia sprzeczności i konfliktów w łonie afgańskich grup powstańczych.

PROCES KLAUSA BARBIE

W Lyonie odbywa się proces przeciwko Klausowi Barbie (alias Klaus Altmann), byłemu szefowi gestapo w tym mieście podczas II wojny światowej. Po odczytaniu aktu oskarżenia (Barbie odmówił złożenia zeznań i proces odbywa się pod jego nieobecność) rozpoczęły się przesłuchania świadków i ofiar. Jednym ze świadków był niemiecki prokurator Holfort z Kolonii, który stwierdził, iż Barbie musiał być świadom, co oznacza używane przez nazistów sformułowanie „ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego” oraz że doskonale wiedział, iż osoby deportowane z Lyonu (głównie Żydzi) czeka pewna śmierć w obozach koncentracyjnych na Wschodzie.

Do przykrew wymiany zdań doszło pomiędzy francuskim prokuratorem a obrońcami Barbiego, kiedy ci ostatni zadali pytanie, dlaczego rząd francuski tak długo zwlekał (od 1975 do 1982 r.) z prośbą o ekstradycję Barbiego, doskonale orientując się, iż były kat Lyonu przebywał w Boliwii. (*Frankfurter Rundschau*, 21. 05.)

PRZEBIEG SPISU LUDNOŚCI W RFN

Prasa codzienna wyczerpująco informuje o powszechnym spisie ludności i kłopotach w związku z jego bojkotem propagowanym przez różne grupy niezależne oraz partię „Zielonych”. Jak pisze *Tagesspiegel* (22. 05.) rząd pozytywnie ocenia dotychczasowy przebieg spisu. Zano-

Redakcja »Poglądu« poszukuje kolporterów na terenie RFN, Szwajcarii i Austrii

Dogodne warunki.

Zainteresowanych prosimy o skontaktowanie się

z redakcją »Poglądu«. ☎ 030/782 93 84

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

towano dotąd tylko ok. 20 przypadków pobicia urzędników przeprowadzających spis, głównie w Nadrenii-Westfalii. Partia „Zielonych” wypowiedziała się za bojkotem bez użycia przemocy, krytykując jednocześnie, iż rząd usiłuje z obywateli bojkotujących spis zrobić „terrorystów”.

Zdaniem lewicowego berlińskiego dziennika *TAZ* (21.05.) wszystkie osoby uchylające się od spisu są rejestrowane w Federalnym Urzędzie Ochrony Konstytucji (Bundesverfassungsschutz) i Federalnym Urzędzie Kryminalnym (Bundeskriminalamt).

ROZBROJENIE A PROBLEM NIEMIECKI

Pod takim tytułem szwajcarski dziennik *Neue Zürcher Zeitung* (22.05.) zamieszcza na pierwszej kolumnie rozważania związane z problematyką rozbrojenia i kłopotami rządu zachodniemieckiego z podjęciem odpowiednich decyzji dotyczących opcji zerowej (głównie ze względu na sprzeczne poglądy w tej kwestii w łonie koalicji rządowej).

NZZ pisze m. in.: „Żadnemu rządowi krajów do NATO nie przychodzi tak ciężko podjęcie decyzji odnośnie planu likwidacji rakiet średniego zasięgu jak rządowi RFN. (...) Kiedy po spotkaniu w Reykjavíku pojawiła się możliwość bilateralnego porozumienia pomiędzy dwoma supermocarstwami w kwestii rakiet średniego zasięgu, podniosły się pierwsze głosy krytyczne w RFN wskazujące na zagrożenie w postaci sowieckich rakiet o zasięgu 1000 do 500 km stacjonujących od 1979 r. na terenie Czechosłowacji i NRD.

Wątpliwości Zachodu, a właściwie głównie Bonn, zostały uwzględnione przez USA w rokowaniach genewskich. I tak doszło do prowizorycznego porozumienia amerykańsko-sowieckiego odnośnie opcji zerowej również dla rakiet o zasięgu 500 do 1000 km. Amerykanie starają się obecnie o akceptację

tej decyzji przez rządy zachodnioeuropejskie”.

Gdzie leżą obiekty i wątpliwości rządu w Bonn? Strona zachodniemiecka argumentuje, iż przy opcji zerowej dla rakiet średniego zasięgu terytorium obu państw niemieckich będzie narażone na niebezpieczeństwo stania się widownią pojedynku atomowego obu supermocarstw. Dalej stwierdza się, iż USA i ZSSR mogą dogadać się między sobą kosztem Niemiec. W takim tonie pisały niektóre dzienniki w RFN.

Automatycznie nasuwa się problem zjednoczenia Niemiec. W ten sposób stawia się pod znakiem zapytania – tym razem w kołach prawicowych – (zachodnio)niemiecką integrację z Zachodem, a kołom lewicowym daje się pozrywać do dalszych spekulacji wokół „neutralnych, zjednoczonych Niemiec” – stwierdza *NZZ*.

KRYTYKA HONECKERA

Na kongresie NRD-owskich rolników w Schwerinie I sekretarz SED Honecker wystąpił z ostrą krytyką rozpowszechnianych w RFN pogłosek o sowieckiej inicjatywie zjednoczenia Niemiec w ramach propozycji rozbrojenia Gorbaczowa.

Honecker stwierdził m. in.: „Wszystkim prorokom, którzy w związku z tak ważnym problemem jak likwidacja rakiet średniego zasięgu w Europie i uwolnienie kontynentu od wszystkich broni atomowych zaczynają mówić o ponownym »zjednoczeniu«, należałoby wpisać do albumu: Boże mój, oni nie wiedzą, co czynią. Nie ma nic, co by można było zjednoczyć. Zarówno słowo »ponownie«, jak i »zjednoczyć« jest nie na miejscu. NRD i Republika Federalna nie będą nigdy tworzyć całości. Kapitalistyczny i socjalistyczny system społeczny dzielią od siebie światy. Im szybciej się to w Republice Federalnej zrozu-

mie, tym lepiej dla przyszłości ludzkości i zagwarantowania pokoju na świecie” – pisze *Neue Zürcher Zeitung* (26.05.).

W dalszej części przemówienia Honecker zażądał od rządu RFN akceptacji sowieckich propozycji rozbrojenia, uzależniając od tego rozwój dalszych stosunków niemiecko-niemieckich. Robiąc aluzję do kursu reform Gorbaczowa Honecker stwierdził jeszcze raz, iż demokratyzacja społeczeństwa socjalistycznego nie ma nic wspólnego z zachodnim wyobrażeniem o demokracji. Demokracja socjalistyczna – powiedział – stoi o wiele wyżej niż mieszczańska, kapitalistyczna.

WIZYTA GORBACZOWA W RUMUNII

Rumunia jest ostatnim krajem Bloku Wschodniego, do którego udaje się z trzydniową wizytą Gorbaczowa. Szef partii i państwa Ceaușescu powołując się na zasady ideologiczne i narodową suwerenność dość skutecznie – jak dotąd – opiera się reformom Gorbaczowa – stwierdza *Süddeutsche Zeitung* (25.05.) – pisząc o atmosferze towarzyszącej planowanej wizycie Gorbaczowa w Bukareszcie.

Prawie wszystkie gazety sowieckie wyczerpująco pisały o dużych kłopotach gospodarczych Rumunii, przede wszystkim o złym zaopatrzeniu: „W warunkach absolutnej oszczędności życie ludzi jest bardzo ciężkie. Wiele artykułów spożywczych podlega reglamentacji... Telewizja rumuńska ogranicza w zasadzie swój czas nadawania do dwóch godzin dziennie... Główne ulice miast są bardzo słabo oświetlone, natomiast boczne toną w zupełnych ciemnościach”.

Berliński *Tagesspiegel* (27.05.) zwraca uwagę, iż oficjalne rozmowy obydwu szefów państw przeciągały się ponad zaplanowany czas, z czego można by wnioskować, iż nie udało się im pokonać dzielących ich

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

rozbieżności. W czasie uroczystej kolacji Gorbaczow z kwaśną miną wysłuchiwał toastu swojego gospodarza, który chwalił postęp i osiągnięcia gospodarki w Rumunii. Zarówno prasa rumuńska jak i sowiecka w sprawozdaniach ze spotkania dały do zrozumienia, że bilateralne rozmowy w pierwszym dniu wizyty przebiegały niezbyt gładko.

TEHERAŃSKA MISJA ZACHODNIONIEMIECKIEGO POLITYKA

Posel do Bundestagu z ramienia SPD Hans-Jürgen Wischniewski udał się do Teheranu w tajnej misji przeprowadzenia rozmów odnośnie uwolnienia dwóch obywateli niemieckich, którzy w styczniu br. zostali uprowadzeni w Libanie przez szyicką organizację Hisbollah (Partia Boga). Szyiocy porywacze chcą w ten sposób wymusić zwolnienie z więzienia w RFN braci Hamadei. W czasie rozmowy z przewodniczącym parlamentu irańskiego Rafsanżanem Wischniewski przekazał listy od kanclerza Kohla, ministra spraw zagranicznych Genschera i przewodniczącą Bundestagu Jenningera — pisze *Frankfurter Rundschau* (26. 05.). Iran wprawdzie nie jest bezpośrednio zamieszany w uprowadzenie, ale posiada w Libanie duże wpływy, zwłaszcza wśród libańskich szyitów.

Wg doniesień agencji prasowych w Teheranie Iran nie chce brać na siebie roli mediatora, jest jednak gotów ze względów humanitarnych przekazać przesłanie kanclerza Kohla porywaczom w Libanie.

PAPIEŻ A WYBORY WE WŁOSZECH

Z początkiem maja prezydium Konferencji Biskupów Włoch wydało oświadczenie dotyczące nadchodzących wyborów parlamentarnych, w którym stwierdza się m. in. „Jż istnieją listy wyborcze, na które nie może głosować żaden katolik, jeśli

chce pozostać w zgodzie ze swoim sumieniem oraz podstawowymi wartościami wiary chrześcijańskiej”. Oznacza to pośrednią dyskryminację wszystkich innych partii laickich — pisze *Neue Zürcher Zeitung* (28./29. 05.) — oraz zalecenie głosowania na „Democrazia cristiana” (włoska chadecja).

Papież w swym przemówieniu na zakończenie konferencji biskupów nie powtórzył tego apelu w sposób dosłowny, lecz stwierdził, iż nikt nie powinien się dziwić, jeśli w diecezjach katolicy będą posłuszni „przewodnictwu swych pasterzy”. Społeczne i polityczne zaangażowanie włoskich wyborców — katolików jest konieczne, aby „Włochy odzyskały chrześcijańskie oblicze”.

Poszczególne partie polityczne zareagowały na to oświadczenie dość spokojnie (w przeciwieństwie do prasy włoskiej). Włoscy komuniści doskonale zdają sobie sprawę, iż kruczata przeciwko Kościółowi odstraszyłyby tylko katolików, którzy głosowali dotychczas na komunistów, co we Włoszech bynajmniej nie jest rzadkością. *NZZ* stwierdza na zakończenie, iż nie należy przeoceniać apelu biskupów, gdyż jego oddziaływanie będzie we Włoszech raczej znikome.

UKŁAD WARSZAWSKI OBRADUJE W BERLINIE WSCHODNIM

28 maja rozpoczęły się w Berlinie Wschodnim obrady Komitetu Doradczego Państw-stron Układu Warszawskiego, w którym wzięli udział wszyscy przywódcy partijni państw Bloku Wschodniego, jak również premierzy i ministrowie spraw zagranicznych tych krajów.

Porządek obrad nie przewidywał oficjalnego przemówienia szefa Kremia Gorbaczowa. Wg oświadczenia MSZ NRD tematem obrad miały być praktyczne kroki w celu ograniczenia zbrojeń oraz rozbrojenie, a także system bezpieczeństwa międzynarodowego.

Zachodni obserwatorzy liczyli się z możliwością gestu dobrej woli ze strony wschodniej i ogłoszeniem jednostronnego wycofania wojsk sowieckich z terytorium NRD i Czechosłowacji.

Berliński *Tagesspiegel* (30. 05.) pisząc o zakończeniu obrad stwierdza, iż wbrew oczekiwaniom nie zostały ogłoszone żadne nowe propozycje rozbrojeniowe. Państwa Układu Warszawskiego zaproponowały NATO jedynie nowe rokowania na temat doktryn militarnych obu bloków oraz nierówności w potencjale broni konwencjonalnych. Rozmowy mają się rozpocząć jeszcze w tym roku.

Zachodnioniemieckie mass media wiele uwagi poświęciły atmosferze spotkania, która w niczym nie przypominała podobnych „ceremonii” z niedalekiej przeszłości. Władze NRD starały się nadać spotkaniu charakter bardziej kameralny, bez surowego protokołu i szpalerów zamówionych „krzykaczy” — pisze *Die Welt* (30. 05.).

W czasie uroczystego koncertu w teatrze Schauspielhaus, w którym brały udział wszystkie delegacje, publiczność zgotowała spontaniczną owację Gorbaczowowi i jego żonie.

UCIECZKA KUBAŃSKIEGO GENERALA

Kubański generał brygady Rafael del Pino Diaz uciekł samolotem wraz z całą rodziną do USA. Władze amerykańskie udzieliły mu azylu. Odległość pomiędzy Kubą a amerykańską bazą Key West na Florydzie (150 km) uciekinierzy pokonali samolotem sportowym.

Del Pino jest obecnie przestuchiwany przez władze amerykańskie, które są zdania, iż może on udzielić wielu interesujących informacji na temat militarnego zaangażowania Kuby w Angoli i Ameryce Południowej. (*Tagesspiegel*, 30. 05.)

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

LĄDOWANIE NA PLACU CZERWONYM

Wiadomość agencyjna o wylądowaniu samolotu sportowego z RFN na Placu Czerwonym w Moskwie przekazana 30. 05. przez wszystkie dzienniki, stacje radiowe i telewizyjne na Zachodzie z pewnością wejdzie do księgi rekordów Guinnessa.

19-letni Mathias Rust z Wedel koło Hamburga wystartował z Helsinek — donosi FAZ (30. 05.) — i po kilku godzinach lotu wylądował w centrum Moskwy. Na Placu Czerwonym znajdowało się wówczas około 300 przechodniów. Pilot wysiadł spokojnie z maszyny i zaczął rozdawać autografy. Zaskoczenie było całkowite, bowiem Rusta zatrzymano dopiero po pewnym czasie. Sa-

molot stał nawet jeszcze przez kilka dalszych godzin na Placu Czerwonym.

Ambasada RFN w Moskwie nie mogła udzielić żadnych wyjaśnień związanych z tą niezwykłą historią, bowiem władze sowieckie oficjalnie poinformowały o niej dopiero następnego dnia. Nieznane są również motywy działania pilota.

Eksperti wojskowi na Zachodzie zastanawiają się, jak mogło do tego dojść, że radary wojskowej kontroli naziemnej w ZSSR nie wykryły samolotu. Jedno jest pewne, sowiecka obrona powietrzna nie została postawiona w stan alarmu — pisze *Tagesspiegel* (31. 05.) — w tej sytuacji część radarów była wyłączona. Wg amerykańskich danych Sowieci nie dysponują jeszcze radarami, które byłyby w stanie wykry-

wać obiekty latające na małych wysokościach.

Dymisje ministra obrony ZSSR marszałka Sokolowa oraz szefa obrony powietrznej Koldunowa, które nastąpiły po tym incydencie — stwierdza dalej berliński dziennik — pozostają w bezpośrednim związku z lądowaniem samolotu sportowego w Moskwie.

W oświadczeniu TASS dymisję Sokolowa uzasadnia się osiągnięciem przez niego wieku emerytalnego, natomiast Koldunowa — wzmacnieniem kierownictwa w Ministerstwie Obrony. Oświadczenie wspomina ponadto, iż radary sił obrony powietrznej ZSSR odkryły samolot Rusta po znalezieniu się przezeń w strefie powietrznej tego kraju. Dwa myśliwce przechwytyjące dwa razy okazywały jego samolot, nie zmusiły go jednak do lądowania. ■

• KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA •

MŁODZI POLACY DYSKUTUJĄ W TV Z PREZYDENTEM RFN VON WEIZSÄCKEREM

Prezydent RFN Richard von Weizsäcker zaprosił kilkunastu polskich studentów germanistyki i historii do telewizyjnej dyskusji o stosunkach polsko-niemieckich. Odbyła się ona w dn. 21. 05. na zamku książąt heskich w Darmstadzie, które to miasto dzięki działającemu tu Deutsches Polen Institut Karla Dedeciusa ma dla Polaków szczególne znaczenie. Wśród dyskutantów znalazło się również kilku niemieckich studentów slawistyki oraz uczniów szkół średnich jeżdżących na wycieczki do Polski oraz interesujących się naszym krajem.

Ponad trzygodzinną rozmowę, transmitowaną przez ogólnoniemiecki program ZDF, prowadził jeden z najbardziej znanych niemieckich dziennikarzy telewizyjnych Apel. Niemiecy dyskutanci, w wypowiedziach których odczuwano się troskę o poprawę stosunków polsko-niemieckich, jednoznacznie chwaliли polską gościnność i serdeczne przyjęcie, z jakim spotkali się odwiedzając nasz kraj. Podobnie zresztą i polscy studenci, z których kilku przebywało nawet na krótkich stypendiach w RFN, mówili o przyjaznym stosunku do Polaków spotykanych przez nich Niemców, w tym również przedstawicieli starszej generacji, czy też byłych mieszkańców Śląska. Polscy studenci szczególnie mocno podkreślali, że nigdy nie napotykali na trudności w porozumieniu się z młodzieżą niemiecką. Po przełamaniu pierwszych lodów okazywało się zwykle, że widzenie świata i europejskich problemów, jak również stosunków polsko-niemieckich, także w aspekcie historycznym, jest u młodych Niemców podobne jak u Polaków. Jeden z Polaków (albo Niemców?) na zakoń-

czenie programu zadał pytanie, które skwitowano aplauzem: „My, młodzi ludzie, nie mamy żadnych problemów w zrozumieniu się, nie pojmujemy jednak, dlaczego mają je starsi, ci, którzy rządzą”.

Znajomość języka niemieckiego u młodych polskich germanistów była wręcz doskonała. Jeden z Niemców powiedział, „Właściwie nie wiadomo, kto tu jest Niemcem, a kto Polakiem”. Słabszą znajomość języka niemieckiego dało się odczuć jedynie u osób stawiających prezydentowi Weizsäckerowi pytania zgodne z linią oficjalnych ataków prasy rządowej przeciwko RFN. Nasuwa się przypuszczenie, że byli to aktywiści oficjalnych młodzieżowych organizacji.

Odpowiedzi prezydenta Weizsäckera, którego urząd nie ma prawie żadnego wpływu na politykę zagraniczną czy wewnętrzną RFN, nie mogły zadowolić obiektywnego obserwatora.

Wśród pytań ze strony Polaków pojawił się często wysuwany przeciwko Niemcom zarzut, że o Wrocławiu z uporem mówią oni „Breslau”, nazywając po niemiecku tak samo inne, dzisiaj polskie miasta. Weizsäcker stwierdził, iż trudno wymagać od osób, które urodziły się w mieście Breslau, bo tak się ono wówczas nazywało, aby mówiły, że urodziły się we Wrocławiu. Trzeba więc okazywać więcej tolerancji, bo przecież jeżeli Niemcy używają słowa „Breslau”, to wcale nie znaczy, iż kwestionują tym samym układ polsko-niemiecki z 1970 roku i granicę na Odrze i Nysie.

Odpowiedź ta jest jednak niewystarczająca. Niezależnie od różnicy poglądów (bo nie tylko „czerwoni” pouczają Niemców, że o Gdańsku nie wolno mówić Danzig) po-

winniśmy w końcu zrozumieć, że używanie właściwych danemu językowi nazw miejscowości innego kraju nie ma najczęściej nic wspólnego z polityką lecz jest zjawiskiem tradycji kulturalnej i językowej. Tak więc Francuz mówi o Warszawie Varsovie, Anglik Warszaw, a Niemiec Warschau, Krakau, Danzig, Breslau, Stettin. Jeżeli Niemiec powie „Kraków”, to nikt go nie zrozumie. Zarzucanie Niemcom „rewizjonizmu” z tego powodu jest co najmniej śmieszne.

Tak samo w języku polskim używa się polskich nazw dla niemieckich miast — Monachium (München), Akwizgran (Aachen), Moguncja (Mainz), Pasowa (Passau), Brunzwik (Braunschweig), Tybinga (Tübingen), Lubeka (Lübeck), Budziszyn (Bautzen), Kolonia (Köln), Kilonia (Kiel) itd. itp. Nikt z Polaków przy tym nie myśli, że miasta te były kiedyś polskie albo chce, żeby zostały do Polski przyłączone. Lwów po polsku nazywa się Lwów, Wilno — Wilno i trudno wymagać od kogoś, kto urodził się w Stanisławowie, aby mówił, że pochodzi z Iwano-Frankowska. Śmieszne jest, gdy widzi się na autostradach NRD napisy „Warszawa” czy „Wrocław” w polskiej pisowni, a już efekty komiczne przynoszą próby wschodnioniemieckich spikerów superpoprawnego wymawiania polskich nazw.

Inną sprawą jest jednak określanie przez Niemców Łodzi jako Lietzmannstadt. Za faszystę należy uznać tego, kto używa tej nazwy, bo Lietzmannstadt istniał wyłącznie podczas hitlerowskiej okupacji Polski.

Nie tylko w odpowiedzi na pytanie odnośnie nazewnictwa miast zabrakło Weizsäckerowi właściwych argumentów. Długo i szeroko omawiano prace wspólnej polsko-niemieckiej Komisji Historycznej opracowującej redakcyjne rekomendacje — dotyczące polsko-niemieckiej historii — dla podręczników historii w obu krajach. Dlaczego rekomendacje Komisji są w wielu zachodnioniemieckich landach lekceważone i czy nie należy uznać faktu zaznaczenia Pomorza i Śląska w niektórych zachodnioniemieckich podręcznikach szkolnych jako pozostających „pod polską administracją” za naruszenie polsko-niemieckiego układu z roku 1970? — zapylała jedna z polskich uczestniczek dyskusji. Weizsäcker powiedział jedynie, iż wspaniałe jest to, że Polacy i Niemcy właśnie w owej Komisji Historycznej rozmawiają ze sobą, że dochodzą do porozumienia, czego nie potrafią Chińczycy, Japończycy i Koreańczycy posiadający również podobne gremia. Prezydent RFN miał w tym miejscu doskonałą okazję do zdystansowania się od polityki edukacyjnej niektórych zachodnioniemieckich landów, gdzie ciągle dominują prawicowo-nacjonalistyczne siły, bo gdyby było inaczej, nie drukowano by dla oficjalnego użytku map, na których wschodnia granica Niemiec z roku 1937 zaznaczana jest jako właściwa granica Niemiec dzisiejszych. Nie uczynił tego. Jeżeli — jak twierdzi Weizsäcker — RFN zawiera umowy po to, aby je respektować, to przynajmniej jego organy rządowe powinny działać i wypowiadać się w duchu podpisanych umów. Znać skomplikowaną, federalną strukturę Niemiec — i na to też chyba trzeba było zwrócić uwagę polskiemu uczestnikowi dyskusji — trudno jest rządowi RFN ujednoclić przedstawianie w podręcznikach szkolnych granic i stosunków polsko-niemieckich.

Osobną kwestią jest jednak zadanie pytania, który z rządów RFN, czy to SPD czy CDU, stawiał sobie taki cel?

Zdziwienie musiało wywołać wyjaśnienie Weizsäckera, który na pytanie, czy antypapieskie demonstracje w RFN

podczas niedawnej wizyty Jana Pawła II miały antypolski, czy też antykościelny charakter, odpowiedział, że demonstracji... „nie było, albo prawie nie było. W każdym razie było ich mniej, niż w jakimkolwiek innym kraju, który odwiedził „lubiący podróżować” polski papież”. A przecież pomijając demonstrację nagusów w Kolonii (patrz „Pogład”, nr 10/31, str. 13), to chyba antypapieską demonstracją — znacznie poważniejszą — był zjazd oddolnych reformatorów Kościoła, tzw. grupy „Kirche von unten”. A wywiady telewizyjne zwolnionego przez papieża z uniwersytetu w Tybindzie profesora teologii Künga wobec chętnie słuchających go dziennikarzy? Itd. itd.

Niejasne były również odpowiedzi Weizsäckera na pytania zadawane zarówno ze strony Niemców jak i Polaków odnośnie tego, w jaki sposób możliwa jest intensyfikacja polsko-niemieckich kontaktów, wymiany grup studenckich i uczniowskich, zapewnienie studentom możliwości odbywania praktyk w obu krajach, jak również otwarcia polskim studentom możliwości zarobkowania w RFN podczas wakacji, do czego uprawnieni są np. wszyscy studenci krajów Wspólnoty Europejskiej. Polscy dyskutanci nie „potrafil” odpowiedzieć na pytanie niemieckiej uczestniczki dyskusji, która uskarżała się na brak kontaktów z Polakami podczas jej pobytów w Oświęcimiu i Majdanku, gdzie brała udział w pracach porządkowych prowadzonych przez młodzieżowe niemieckie ugrupowania na terenach byłych obozów koncentracyjnych. Znającemu kulisy przyjmowania zachodnioniemieckich grup przez PRL, takich jak np. „Sühnezeichen”, prowadzących roboty porządkowe w byłych obozach koncentracyjnych łatwo jest zrozumieć rozgoryczenie młodej Niemki. Mimo, iż członkami tych organizacji są w większości lewicowcy o prawie komunistycznych zapatrywaniach, to „bratni” organizacje PRL-owskie zapewniają im pobyt w kraju wg „oficjalnego” programu i starają się, broń Boże, nie dopuścić do nawiazania przez nich kontaktów z rzeczywistymi przedstawicielami polskiej młodzieży. Lewicowcy z „Sühnezeichen” mają więc w PRL do czynienia w zasadzie z funkcjonariuszami.

W wielogodzinnej dyskusji niemożliwe było wyczerpanie wszystkich tematów. Dyskusja prowadzona była jednak w żywej, swobodnej atmosferze, powiedziano, chyba po raz pierwszy w niemieckiej telewizji, wiele rzeczy wymagających powiedzenia. Polacy i Niemcy wspólnie mówili o trudnych dla nich problemach, również o wypędzeniu — a nie „przesiedleniu” — Niemców z ich ojczyzny na Wschodzie. Widać było jeszcze wiele nieśmiałości, niepewności, obaw o to, że można jakimś niewłaściwym słowem zranic gościj/gospodarzy. Należy mieć nadzieję, że nie była to ostatnia dyskusja telewizyjna tego typu. Jej podjęcie jest niewątpliwie zasługą prezydenta Weizsäckera, który wydaje się być rzeczywiście zainteresowany nie tylko złożeniem oficjalnej wizyty w Polsce, ale przede wszystkim poprawą stosunków polsko-niemieckich i zawarciem porozumienia, a nawet przyjaźni między naszymi narodami.

St. Gałęzowski

MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

W Warszawie zakończyły się 32 Międzynarodowe Targi Książki, w których brało udział ponad tysiąc wystawców z 25 krajów. Korespondent *Süddeutsche Zeitung* (29. 05.) Jürgen Vietig, porównując warszawskie targi z frankfurckimi stwierdza, iż nie mają one takiego rozmachu, brakuje w nich

• KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA • KULTURA •

przede wszystkim imprez towarzyszących, dyskusji, sympozjów, zaś pisarze nie liczą się tu zupełnie. I tak jest od lat.

Pierwotnie targi obejmowały tylko literaturę fachową — medyczną i przyrodniczą. Obecnie wystawia się też literaturę piękną, choć w niezwykle skromnym wymiarze.

Również i w tym roku zakazano wystawienia kilka pozycji zachodniemieckich wydawców, jak np. atlas świata Diercke oraz album o Węgrzech z serii *Europa Południowo-wschodnia*. Kwestią sporną był sposób przedstawiania

w nich granic między poszczególnymi krajami europejskimi. Z tych też względów wydawcy z RFN nie prezentują na targach w Warszawie żadnych encyklopedii czy słowników terminologicznych, w których reprodukowane są mapy.

W ub. roku RFN sprzedała do Polski książki i czasopisma na sumę 3 mln DM. Istnieje jednak żywa wymiana pomiędzy instytucjami i bibliotekami obu krajów, której statystyki nie uwzględniają. W czasie targów przeprowadzono rozmowy polsko-niemieckie na temat zakupu licencji tłumaczeniowych. ■

• EKONOMIA • EKONOMIA • EKONOMIA • EKONOMIA • EKONOMIA •

**POLSKO-NIEMIECKA WYMIANA HANDLOWA
POD ZNAKIEM ZAPYTANIA**

Takim tytułem opatruje swój komentarz na temat wizyty w Polsce ministra gospodarki RFN Martina Bangemanna oraz kolejnego posiedzenia dwustronnej komisji mieszanej obu państw zajmującej się problemami wymiany handlowej i stosunków gospodarczych pomiędzy RFN i Polską, ukazujący się w Monachium zblizony do kół liberalnych dziennik *Süddeutsche Zeitung* (25. 05.). Zarówno wizycie w PRL ministra Bangemanna, jak i VII posiedzeniu komisji mieszanej towarzyszyły od początku niedobre oznaki — stwierdził monachijski dziennik. W 1986 roku w porównaniu z rokiem ubiegłym eksport wyrobów gotowych z RFN do Polski spadł o 13,6% zamykając się sumą 2,4 mld DM, natomiast import z Polski wykazał również silną tendencję zniżkową spadając o 15,7%, co oznacza sumę 2,6 mld DM. Również w pierwszych miesiącach 1987 roku tendencje spadkowe w wymianie handlowej obu państw utrzymywały się nadal (zachodniemiecki eksport: -9,5%, import: -23,1%).

Polskie nadzieje związane z zakładaniem spółek mieszanych (joint ventures) z kapitałem polskim i zachodniemieckim, jak dotąd, nie spełniły się. W ciągu czterech pierwszych miesięcy br. Polska nie potrafiła dostatecznie zwiększyć swego eksportu, który wyniósł tylko 3,4%. Z kolei import wzrósł do 4,2%. Wyraźna przewaga importu nad eksportem, co niewiele odbiega od tendencji zaobserwowanych w gospodarce polskiej w ub. roku, w żadnym wypadku nie odpowiada założeniom planu gospodarczego PRL. W tej sytuacji rosną wątpliwości, w jaki sposób Polska może odzyskać zaufanie wierzycieli zrzeszonych w Klubie Paryskim, by sponogować spłaty długów wynoszących w ub. roku 33 mld dolarów.

Ten sam dziennik w wydaniu z dn. 23/24. 05. informuje, iż ze względu na niekorzystny rozwój wymiany handlowej pomiędzy RFN i Polską Niemcy Zachodnie nie są w stanie zagwarantować Polsce żadnych nowych kredytów. Zawarta w 1986 roku między PRL i RFN umowa kredytowa na 100 mln DM okazała się niewypałem, ponieważ Polska nie była w stanie sprostać własnym zobowiązaniom finansowym. Z sumy tej wykorzystanych zostało zaledwie ok. 14 mln DM. Poprawa tej sytuacji zależy od uregulowania przez Polskę stosunków finansowych tego kraju z państwami-wierzycielami. Widoki jednak na to są bardzo kiepskie. Z ogólnej sumy zadłużenia wynoszącej ok. 33 mld dolarów Polska musiałaby corocznie spłacać 5 mld dolarów. Możliwość takich, pogrążona w kryzysie gospodarka PRL niestety nie ma.

AMERYKAŃSKIE ZBOŻE DLA ZSSR

Wg informacji Ministerstwa Rolnictwa USA eksport amerykańskiego zboża do ZSSR ulegnie w tym roku, w porównaniu z rokiem 1986, potrojeniu — pisze *Süddeutsche Zeitung* (25. 05.). Ubiegłoroczny eksport 2,7 mln t kukurydzy przyniósł Stanom Zjednoczonym zyski w wysokości 700 mln dolarów, co było najmniejszą sumą uzyskaną przez Amerykanów z eksportu zboża do ZSSR od 13 lat. Zakup dodatkowych 4 mln t pszenicy pozwoli ZSSR ponownie stać się najważniejszym partnerem handlowym USA jeśli chodzi o produkty zbożowe. W ostatnim miesiącu ZSSR zakupił w USA milion ton subwencjonowanego w wysokości 45 dol. za każdą tonę zboża, po 80 dol. za tonę. Amerykańskie Ministerstwo Rolnictwa szacuje tegoroczne straty w produkcji rolniczej ZSSR na 37 mln t., w związku z czym potrzeby importowe tego kraju w dziale produkcji zbożowej miałyby wynieść 36 mln t.

NOWE TECHNOLOGIE? — DZIEKUJEMY, NIE!

Niedostateczny postęp techniczny jest jednym z najważniejszych powodów gospodarczej słabości centralnego planowania w krajach komunistycznych i prowadzi do ich gospodarczego opóźnienia względem państw zachodnich — stwierdza zblizony do kół socjaldemokratycznych dziennik *Frankfurter Rundschau* (27. 05.). Mimo licznych umów i postanowień podejmowanych przez państwa socjalistyczne na szczeblu RWPG i dotyczących wspólnych ich działań w dziedzinie postępu technicznego, nie widać żadnych oznak poprawy. Podjęty w 1985 roku przez te państwa, mający obowiązywać do roku 2000 tzw. kompleksowy program przyspieszenia wdrażania innowacji i nowych technologii ma takie same niewielkie szanse powodzenia, jak wiele innych.

Wskazuje się na kilka przyczyn takiego stanu rzeczy. Pierwszym winowajcą jest system subwencji państwowych, a także brak konkurencji między poszczególnymi zakładami w dziedzinie wprowadzania nowoczesnych technologii. Np. w ub. roku rząd PRL przeznaczył na pokrycie strat w gospodarce państwowej aż 30% całego budżetu państwa w wysokości 1500 mld zł. Dzieje się to w chwili, gdy władze szeroko mówią o postępach reformy gospodarczej, jednym z najważniejszych celów której jest przecież samofinansowanie. Przedsiębiorstwom po prostu łatwiej jest sięgnąć do kasy państwowej niż wprowadzać wewnątrzzakładowe innowacje i dbać o opłacalność produkcji. Poszczególne zakłady bronią się przed wdrażaniem nowych technologii. Przy 112 opatent-

towanych wynalazkach, jakie w ub. roku urząd patentowy przedstawił 3885 polskim przedsiębiorstwom, jedynie 18 firm zgłosiło gotowość wykorzystania ich w produkcji. Przy tym wszystkim liczba odkryć naukowych i wynalazków jest w Polsce — podobnie jak w innych krajach socjalistycznych — w porównaniu z Zachodem bardzo niewielka. W 1985 roku zgłoszono w Polsce tylko 194,5 tys. projektów racjonalizatorskich (w przemyśle 136.900). Oznacza to, że na jednego pracownika przypada ich tylko 0,01, podczas gdy np. w Japonii wskaźnik ten wynosi 13.

Winić za to należy zachowawczą mentalność kierownictwa zakładów, które we wdrażaniu nowych technologii dostrzega tylko problemy. W ogromnej większości kadra kierownicza zakładów czyni wszystko aby temu zapobiec. Pomocną rolę pełni tu biurokracja na szczeblu rządowym, stającą często po stronie dyrekcji zakładów. Nic też dziwnego, że w Polsce poszczególnych wynalazców bardziej uznaje się

za pewnego rodzaju „optymistycznych idiotów”, aniżeli za racjonalnie myślących ludzi. Zamiast uznania i premii muszą się oni przede wszystkim liczyć ze sprzeciwem i niezadowolaniem, z jakimi najczęściej spotyka się ich praca. Prowadzi to zresztą często do zwolnień wynalazców z pracy.

Czyż można się w tej sytuacji dziwić jeśli tylko 20% pomysłów racjonalizatorskich jest w PRL wprowadzanych do produkcji. Oficjalne plany przewidujące wprowadzanie do produkcji 85% wynalazków oraz pomysłów racjonalizatorskich uznaje się za całkowicie nierealne.

Jeśli Polsce nie uda się w możliwie najszybszym czasie dokonać wyraźnego postępu technicznego, kraj ten rzeczywiście znajdzie się na poziomie rozwoju krajów Trzeciego Świata ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami zarówno dla standardu życia ludności, jak i społeczno-politycznej stabilności państwa. ■

• JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM •

FRANKFURT/M. Dwóch niemieckich lekarzy Aquilin Ullrich i Heinrich Bunke, którzy w okresie II wojny światowej stosowali zgodnie z nazistowskimi nakazami eutanazję współpracując z mordowanymi osobami chorymi umysłowo, zostało skazanych przez sąd krajowy Hesji na 4 lata więzienia. (Frankfurter Rundschau, 19. 05.)

WIEDEŃ. Austriacki kanclerz Vranitzky oświadczył dziennikarzom w związku z planowaną 6-dniową wizytą do USA, iż afera Waldheima stanowi największe obciążenie w dotychczasowej historii stosunków austriacko-amerykańskich. (FAZ, 19. 05.)

CHAM. 39-letniemu Czechowi udało się po dwóch latach przygotowań uciec do RFN przy pomocy jednopłatowca z wbudowanym silnikiem samolotowym. (Die Welt, 20. 05.)

CANBERRA. Rząd australijski zamknął ambasadę libijską w tym kraju zarzucając jej personelowi działalność destabilizacyjną w rejonie południowego Pacyfiku. (Frankfurter Rundschau, 20. 05.)

MOSKWA. Do stolicy ZSSR przybył z tygodniową wizytą szef Wietnamskiej Partii Komunistycznej Nguyen Van Linh; tematem bilateralnych rozmów ma być m. in. reforma gospodarki wietnamskiej oraz ewentualne wycofanie wojsk wietnamskich z Kambodży. (NZZ, 20. 05.)

WIEDEŃ. Al Ghadamsi, były libijski ambasador w Austrii (1971-1980) został postrzelony i ciężko zraniony w Wiedniu; sprawcą zamachu był Arab legitymujący się libijskim paszportem dyplomatycznym, który zgubił dokument na miejscu zamachu. (FAZ, 21. 05.)

PEKIN. Od kilku tygodni szaleją pożary lasów w północnej części Chin, których mimo udziału w akcji gaszenia ponad 35 tys. żołnierzy, strażaków i ochotników nie udało się jak dotąd opanować; dotychczas spłonęło ok. 300 tys. ha lasów. (NZZ, 21. 05.)

BONN. Partia „Zielonych” nadal nie będzie miała swego przedstawiciela w komisji parlamentarnej kontrolującej działalność zachodniemieckich służb wywiadowczych; odpowiednia petycja SPD w tej sprawie została odrzucona

przez wszystkie trzy partie koalicji rządowej — CDU/CSU i FDP. (Frankfurter Rundschau, 22. 05.)

BERLIN ZACHODNI. W czasie swej wizyty w Berlinie Zachodnim z okazji 750-lecia miasta prezydent USA Ronald Reagan wygłosi przemówienie przed Bramą Brandenburską. (Tagesspiegel, 22. 05.)

KARLSRUHE. Prokuratura Federalna RFN (Bundesanwaltschaft) potwierdziła ujęcie dwóch szpiegów ze Wschodu odmawiając jednak podania bliższych danych. (FAZ, 23. 05.)

SUVE (FIDŻI). Po dokonaniu w zeszłym tygodniu puczu wojskowym na wyspach Fidżi (Południowy Pacyfik) brytyjski gubernator wysp podał, iż powołał rząd tymczasowy, który będzie sprawował przejściowo władzę aż do rozpisania nowych wyborów powszechnych. (FAZ, 23. 05.)

SAARBRÜCKEN. Jak podał rząd krajowy Saary, we francuskiej elektrowni atomowej w Cattenom (tuż na granicy z RFN — przyp. red.) doszło po raz czwarty w tym roku do awarii i wyłączenia pierwszego oddanego niedawno do eksploatacji reaktora. (Süddeutsche Zeitung, 25. 05.)

GETYNGA. Uroczyste nadanie tytułu doktora honoris causa prezydentowi RFN Richardowi von Weizsäckerowi w związku z obchodami 250-lecia miejscowego uniwersytetu zostało odwołane ze względu na gwałtowne protesty studenckie, spowodowane cięciami budżetowymi rządu Dolnej Saksonii w szkolnictwie wyższym. (Süddeutsche Zeitung, 26. 05.)

BERLIN ZACHODNI. 26 maja z okazji 750-lecia Berlina przybyła do części zachodniej tego miasta z 24-godzinną wizytą królowa Elżbieta II; spotkała się ona m. in. z ministrem spraw zagranicznych RFN Genscherem oraz prezydentem von Weizsäckerem. (Tagesspiegel, 26. 05.)

BRUKSELA. Podczas spotkania ministrów spraw zagranicznych Wspólnoty Europejskiej szef dyplomacji RFN Genscher oświadczył, iż liczy się w dłuższej perspektywie czasu z możliwością zwolnienia pod przewodnictwem ONZ konferencji pokojowej w sprawie Bliskiego Wschodu. (FAZ, 26. 05.)

• JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM •

ATENY. Wg oświadczenia premiera Grecji Papandreou o przyszłości amerykańskich baz wojskowych w tym kraju zadecyduje przyszłe referendum. (Die Welt, 26. 05.)

WASZYNGTON. Rząd Stanów Zjednoczonych nadal domaga się od rządu w Bonn ekstradycji pozostającego w areszcie śledczym we Frankfurcie/M. Libańczyka Mohameda Hamadei, który zamieszany był w uprowadzenie w czerwcu 1985 amerykańskiego samolotu pasażerskiego; podczas akcji uwolnienia zakładników zginął jeden obywatel USA. (Tagesspiegel, 27. 05.)

WIEDEŃ. Władze rumuńskie odmówiły wizej wjazdowej czterem dziennikarzom zachodnim, w tym korespondentowi szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung”, którzy zamierzali udać się do Bukaresztu w związku z wizytą Michaiła Gorbaczowa w Rumunii. (NZZ, 27. 05.)

LA PAZ. 10 tys. chłopów okupuje trzecią część do wielkości miasto boliwijskie Cochabamba protestując w ten sposób przeciwko decyzji rządu o znieszczeniu pól uprawy kokainy. (Süddeutsche Zeitung, 29. 05.)

PEKIN. Premier Chin Zhao oświadczył, iż zakończona została trwająca od trzech lat kampania przemian strukturalnych w Komunistycznej Partii Chin, polegająca na usunięciu z partii funkcjonariuszy okresu „rewolucji kulturalnej”. (Süddeutsche Zeitung, 29. 05.)

ZURYCH. Jak podała organizacja obrony praw więźniów Amnesty International władze tureckie wydalły z powrotem do Iranu kilkuset obywateli tego kraju, którzy starali się o złożenie wniosku o azyl polityczny w Turcji. (NZZ, 28./29. 05.)

PRAGA. Władze czeskosłowackie po raz pierwszy poinformowały o wystąpieniu zakłóceń i przejściowym wyłączeniu reaktora atomowego elektrowni w Jasłowske Bohunice, które miały miejsce pod koniec stycznia br. (FAZ, 29. 05.)

MOSKWA. 29 maja rozpoczął się w stolicy ZSSR VII Kongres międzynarodowej (prosowieckiej — przyp. red.) organizacji „Lekarze Przeciwko Wojnie Atomowej”, w którym bierze udział ok. 2500 przedstawicieli świata medycznego. (Frankfurter Rundschau, 30. 05.)

SANTIAGO. Sąd Najwyższy Chile cofnął decyzję izby cywilnej zezwalającej wdowie po byłym prezydencie Allende na powrót do ojczyzny. (FAZ, 30. 05.)

SEUL. Rząd południowokoreański złożył oficjalne przeprosiny w związku z torturowaniem i zamordowaniem w czasie przesłuchania na policji studenta Park Chong-chola. (Tagesspiegel, 31. 05.)

Kroniki zakończono 31. 05. 1987 r.

FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄDU”

Każde wydanie „Poglądu” ukazuje się również w wersji zminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.

Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu”.

Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego dwutygodnika na kraj.

	lub	
„Gesellschaft Solidarność” e.V.	Postcheckkonto	
„Pogląd”	586 90-102	
Sparkasse der Stadt Berlin West	BLZ 100 100 10	
Konto Nr 122 001 238 2	Postcheckamt	
BLZ 100 500 00	1000 Berlin (West)	

Na Towarzystwo Solidarność

- | | |
|--|---------|
| 1. Halina Linard, Kassel | DM 25,- |
| 2. Marian Bialecki, Kassel | DM 25,- |
| 3. Stanisław Brodnicki, Dortmund | DM 8,- |
| 4. Zofia i Włodzimierz Szulwach, Brühl | DM 60,- |
| 5. Renata Janiszewska, Carlsberg | DM 50,- |
| 6. Marek Bąkowski, Hagen | DM 20,- |
| 7. Teresa Jakowicz, Hamburg | DM 20,- |
| 8. Jerzy Świerkula, Hilbronn | DM 10,- |

Na „Solidarność” w kraju

- | | |
|--------------------------|---------|
| 1. Marek Bąkowski, Hagen | DM 30,- |
|--------------------------|---------|

Na „Solidarność Walczącą”

Członkowie SPK, Koło 772a, Stadtaledorf:

- | | |
|-------------------|---------|
| 1. E. K. Loziński | DM 20,- |
| 2. T. W. Skwarek | DM 20,- |
| 3. Z. Woźniak | DM 10,- |
| 4. Z. Unger | DM 10,- |
| 5. J. Tolber | DM 10,- |
| 6. I. Kosnah | DM 10,- |

FONDS DES BEZIRKSVORSTANDES
NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” GORZÓW WLKP.

Deutsche Bank
Konto nr. 5237193-01
BLZ 466 700 07
5760 Arnsberg 1

Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!

P. Małgorzatę Strzelacką z Kiel przepraszamy za błąd nie opublikowanie (Pogląd 3/124) nazwiska.

Ogłoszenia drobne
zamieszczamy
bezpłatnie

Zaprenumeruj
i czytaj

Pogląd

LOT-em bliżej...?

Wątpliwość wyrażona w tytule niniejszego artykułu ma swoje wielorakie uzasadnienie. Samoloty Ił-62 będące podstawowym środkiem komunikacji PLL LOT na liniach łączących Warszawę z miastami pozaeuropejskimi oraz stanowiące główną część wyposażenia przedsiębiorstw lotniczych na trasach międzynarodowych innych krajów socjalistycznych — otóż samoloty te w ciągu ostatnich kilku lat tak często ulegały katastrofom, iż właściwie powinno to zmuszać odpowiedzialnych za bezpieczeństwo komunikacji lotniczej w tych krajach do przemyślenia całej koncepcji dotychczasowego systemu powietrznych przewozów pasażerskich, a zwłaszcza jego bazy technicznej. Ostatnia katastrofa Ił-62, należącego do PLL LOT, zmusza już nie tylko do przemyśleń, ale domaga się wręcz wprowadzenia jak najrychlejszych zmian w tym systemie.

Wróćmy jeszcze na chwilę do tego tragicznego wydarzenia. Ponieważ większość mających z nim bezpośredni związek faktów jest już znana, powtórzmy je tylko w telegraficznym skrócie.

9 maja o godzinie 10.18 z lotniska na Okęciu wystartował do lotu czarterowego na trasie Warszawa-Newy Jork samolot Ił-62, ochrzczony imieniem „Tadeusza Kościuszki”, ze 172 pasażerami na pokładzie oraz 11 członkami załogi. Po upływie ok. pół godziny pilot zakomunikował pasażerom, iż ma „techniczne trudności” z maszyną. Samolot znajdował się wówczas mniej więcej na wysokości 5,5 tys. metrów 200 km na północ od Warszawy i 100 km na południe od Gdańska.

Wkrótce po komunikacji pilota podróżni zauważyli dobywający się z dwóch, spośród czterech silników Ił-62, dym. Od tej chwili dla wszyst-

kich stało się jasne, że rozpoczął się morderczy wyścig z czasem, wyścig, którego tragiczny koniec przeżywali, jak można przypuszczać, wszyscy znajdujący się na pokładzie samolotu pasażerowie. Świadczą o tym chociażby strzępy listów znalezionej na miejscu katastrofy, w których podróżni zegnali się ze swymi najbliższymi. Również pilot i reszta załogi zdążyli jeszcze rzucić w eter kilka słów pożegnania: „Już z tego nie wyjdę. Dziękuję. Do widzenia” — tak brzmiały ostatnie słowa 59-letniego kapitana samolotu, Zygmunta Pawelczyka.

Po 54 minutach lotu, krótko po godz. 11, wazący 120 ton i dodatkowo obciążony 22 tonami paliwa (48 ton pilot zdążył wypuścić) „Kościusko”, który przed ostateczną katastrofą zamienił się wskutek wybuchu w ogromną ognistą kulę, runął z szybkością 320 km/h na ziemię w Lasach Kabackich pod Warszawą, grzebiąc w swych zgłiszczach życie wszystkich pasażerów i członków załogi. Miejsce wypadku znajduje się niedaleko Ursynowa i oddalone jest zaledwie o 6 km od

lotniska Okęcie, do którego pozostała już tylko 1 minuta lotu.

Niewielka połać lasu, w którym nastąpiła katastrofa przedstawiała widok przerażający — poszarpane na przestrzeni prawie pół kilometra drzewa, dymiące zgłiszcza samo-

lotu, porzrzucone dookoła zmasakrowane szczątki ludzkie, ziemia usłana poodrywaniem od korpusów nogami, rękami, wiszące na drzewach głowy i jelita, na wpół spalone kawałki skóry, porzwalane bagaże itp.

Krótko po runięciu samolotu na ziemię zjawiała się na miejscu wypadku straż pożarna, teren został obstawiony przez milicję, z całej Warszawy



Samolot Ił-62: Latająca trumna

zaczęły zjeżdżać się karetki pogotowia. Niedługo potem wiadomość o katastrofie podały oficjalnie rozgłośnie krajowe oraz zagraniczne agencje informacyjne wywołując wstrząs, przerażenie i rozpacz zarówno wśród tych, którzy w wypadku stracili swoich najbliższych, jak również w całym społeczeństwie. Z całego świata zaczęły napływać wyrazy współczucia dla rodzin ofiar katastrofy.

Prawie natychmiast po tym tragicznym wydarzeniu, zanim na dobre zdążyły ostygnąć szczątki wraku samolotu, pojawiły się pierwsze wątpliwości, posypały pierwsze pytania: Jak mogło dojść do tak poważnej awarii silników, skoro na ziemi kontrola techniczna przeprowadzona przed odlotem nie zgłosiła żadnych zastrzeżeń względem stanu technicznego samolotu; dlaczego pilot zawrócił maszynę z powrotem do Warszawy, a nie usiłował dolecieć do znacznie bliżej położonych Gdańska lub Bydgoszczy; dlaczego, by ratować samolot i pasażerów, nie podjął próby awaryjnego lądowania na lotniskach wojskowych w Grudziądzu i Modlinie, czy wreszcie, dlaczego rzecznik PLL LOT poinformował w sobotę 9 maja o pracach ekspertów nad ustaleniem przyczyn katastrofy na podstawie informacji z tzw. czarnej skrzynki, w której rejestrowany jest zapis wszystkich szczegółów mających związek z lotem, podczas gdy „skrzynkę” tę znaleziono dopiero w poniedziałek?

Pytań takich postawić można więcej. Póki nie ma na nie wiarygodnej i wyczerpującej odpowiedzi, a tę może dać dopiero — co też nie jest z góry przesądzone — dokładne zbadanie wszystkich okoliczności związanych z katastrofą, pozostają domysły i spekulacje.

Jak oświadczył (anonimowo) reporterowi amerykańskiej stacji telewizyjnej CBS jeden z oficerów lotnictwa wojskowego PRL, pasażerski IŁ-62 nie mógł dokonać awaryjnego lądowania na lotnisku w Modlinie, gdyż jego dowództwo nie wyraziło na to zgody. Dotychczasowych wątpliwości dotyczących okoliczności katastrofy nie wyjaśniają również wypowiedzi dyrektora LOT-u, iż sa-

molot pomyślnie przeszedł kontrolę techniczną na warszawskim lotnisku, że maszyna była stosunkowo nowa, a jej kapitan doświadczonym pilotem mającym za sobą bez mała 20 tys. godzin spędzonych w powietrzu. Wyjaśnienia te, zamiast wątpliwości te rozwiewać, tylko je wzmagają, wielu bowiem pyta: Skoro wszystko było tak dobrze, to dlaczego się to tak tragicznie skończyło?



Szcątki samolotu: „dlaczego tak się tragicznie skończyło?”.

W tym miejscu należy powrócić do tego, co w przekonaniu ekspertów lotnictwa mogło być najbardziej prawdopodobną przyczyną podwarszawskiej katastrofy. Tą przyczyną jest sam samolot jako taki, a raczej pewne jego cechy, które sprawiają, że IŁ-62 zaliczyć można do najbardziej niebezpiecznych w komunikacji lotniczej ma-

szyn. Prototyp tego samolotu zbudowano w 1963 roku w pracowni sławnego sowieckiego konstruktora Sergieja Iljuszyna, twórcy całej rodziny samolotów pasażerskich i wojskowych, które do dziś stanowią trzon wyposażenia lotnictwa ZSSR.

Po 4 latach prób IŁ-62 rozpoczął normalne loty rejsowe, zarówno na liniach krajowych ZSSR, jak i międzynarodowych. Powoli też typ ten zaczął pojawiać się w wyposażeniu towarzystw lotniczych innych krajów socjalistycznych m. in. Polski, Czechosłowacji, NRD, Rumunii czy Kuby, by wreszcie — zwłaszcza na trasach dalekiego zasięgu — w znacznym stopniu je zdominować.

Eksperti lotnictwa od dawna wskazywali na wady konstrukcyjne tego samolotu, przede wszystkim gdy chodzi o jego silniki napędowe, określając je jako podatne na uszkodzenia. Chodzi o to, że rozlokowane są one po obu stronach kadłuba parami. Przy tym ułożeniu, gdy następuje awaria tylko jednego z nich, w postaci choćby zniszczenia łopaty turbiny silnika czy pożaru, szansa iż drugi silnik da się uratować, równa jest praktycznie zero. Dotyczy to również układu sterowniczego samolotu umieszczonego w jego tylnej części. To przerażające następstwo fatalnych awarii miało również miejsce w przypadku „Kościszki” — zepsucie się i pożar jednego silnika spowodowały zapalenie się drugiego, rozlatujące

się części obydwu turbin uszkodziły tzw. ster gębokości, dalej poszły ciągle od steru, wreszcie wysiadły pompy hydrauliczne znajdujące się na silnikach, co spowodowało, że nie można było wypuścić podwozia. W końcowej fazie lotu uszkodzenia doznał również ster kierunku. Od tej chwili można się było już tylko modlić.

Taka sama sytuacja miała miejsce podczas katastrofy IŁ-62 („Kopernik”) 14 marca 1980 roku również w Warszawie. Podczas lądowania zniszczeniu uległ jeden z silników samolotu. Jego rozlatujące się części uszkodziły nie tylko bliźniaczy silnik, lecz również część znajdującego się w ogonie układu sterującego. Maszyna runęła na ziemię pociągając za sobą 87 ofiar śmiertelnych.

Inne niebezpieczeństwo grozi IŁ-62 ze strony opon z kół podwozia. Muszą być one mianowicie przed każdym lotem — a w ogóle 5 do 6 razy — wulkanizowane. Odrywające się od nich drobne cząsteczki gumienia wsysane są następnie przez silniki doprowadzając do zniszczenia łopatek kompresora i w następstwie tego, do katastrofy. M. in. z tego powodu Anglicy, po zbudowaniu własnego typu samolotu VC-10, do którego nieco późniejszy IŁ-62 jest do złudzenia podobny — i wyprodukowaniu pierwszych jego 32 egzemplarzy, zrezygnowali z dalszej budowy maszyn tego typu, a już gotowe przeznaczili wyłącznie jako transportowce do użytku wojskowego. Niezależnie od tego, samoloty te w służbie brytyjskiej latają wyłącznie z nowymi oponami.

IŁ-62 posiada jeszcze jedną niebezpieczną wadę. Paradoksalnie jest ona konsekwencją pewnych zalet tego samolotu, na które składają się; osiągnięta dzięki umieszczeniu w części ogonowej silników aerodynamiczna sylwetka, większa szybkość i zasięg, mniejsze zużycie paliwa oraz zmniejszenie uciążliwego dla pasażerów hałasu na skutek przeniesienia do tyłu całego układu napędowego. Wszystko to odbywa się jednak kosztem bezpieczeństwa, bowiem samoloty te niezdolne są do latania z mniejszą szybkością. Sprawa to, że jeśli podczas startu lub lądowania następuje awaria choćby tylko jednego z silników, samolot staje się wręcz niemożliwy do manewrowania. Dla porównania, o ile szybkość Boeingów 707 podczas lądowania potrzebna do bezpiecznego wykonania tego manewru wynosi minimum 252 km/h, a Boeingów 747 (Jumbo Jetów) 261 km/h, to IŁ-62 potrzebuje szybkości nie mniejszej niż 278 km/h. Poważnie zmniejsza to jego szanse

uniknięcia wypadku podczas awaryjnego lądowania.

W związku z katastrofą pod Warszawą warto spróbować zastanowić się nad wnioskami wypływającymi z następującego zestawienia. Otóż na 23 zaliczanych do największych katastrof lotniczych, jakie wydarzyły się na świecie od października 1972 roku, aż 9 z nich dotyczyło samolotów IŁ-62, należących do krajów socjalistycznych. W tych 9 katastrofach zginęło łącznie 1 125 osób, z czego 270 poniosło śmierć w wypadkach samolotów PLL LOT. Jak do tej pory w tej swoistej „latającej trumnie” nie nastąpiły żadne zmiany konstrukcyjne. Tymczasem jak na ironię agencje informacyjne doniosły 12 maja br., a więc trzy dni po katastrofie w Lasach Kabackich, o awarii kolejnego IŁ-62, który po godzinnym locie z Warszawy do Bagdadu musiał zawrócić z trasy z powodu „technicznych trudności”.

Na zakończenie przypomina się pewna historia jeszcze z czasów „Solidarności”, dotycząca konfliktu między związkami zawodowymi a władzami PRL na tle wyboru nowego dyrektora PLL LOT. Starcie było ostre i spowodowało sporo zamieszania w funkcjonowaniu tej instytucji. Otóż jeden z kandydatów na dyrektorskie stanowisko, popierany przez „Solidarność” i większość pracowników przedsiębiorstwa, w ramach proponowanych zmian techniczno-organizacyjnych umożliwiających sprawniejsze funkcjonowanie i zarządzanie LOT-em, przewidywał zastąpienie używanych przez firmę samolotów sowieckiego „chowu”, amerykańskimi Boeingami.

Na szczęście do niczego takiego nie doszło. Sojusz i niezłomna przyjaźń polsko-sowiecka zostały uratowane, my zaś, przypatrując się dziś wesołej reklamie Polskich Linii Lotniczych „LOT-em bliżej” mamy prawo pomyśleć: „Dobrze. Tylko dokąd?”, bo jeśli na tamten świat, to się wszystko zgadza.

Zostań
członkiem wspierającym
„Towarzystwa
Solidarność”

Informacje: ☎ 030/782 93 84

Kościół a polityka

UWAGI ZRĘBOWE

1. Nieporozumienia i uprzedzenia odnośnie polityki

Oдноśnie polityki istnieje szereg nieporozumień i uprzedzeń raczej nie do wyrugowania. Wymienimy ważniejsze. Uważa się częstokroć, że polityka to brudna sprawa. Inni mniemają, iż wobec podstawowych decyzji politycznych tzw. szary człowiek jest i tak całkowicie bezsilny. Wielu sądzi, że uprawianie polityki to wyłącznie domena władzy. Nie brak i takich, którzy nie wierzą w możliwość stosowania moralności w polityce — poddając się fatalizmowi niemoralności politycznej. Idealem działania politycznego pozostaje „uzbytecznienie” siły — wszelkich form nacisku państwowego. Jeszcze inni — co najgorsze — uważają, że polityka jest „na własnych prawach” — poza moralnością. Tego rodzaju przeświadczenia idą oczywiście bardzo na rękę rządzącym, szczególnie w krajach dyktatorskich oraz totalitarnych.

Oczekiwania w stosunku do Kościoła bywają wręcz sprzeczne. Jedni chcieliby zakazać Kościołowi wszelkiego oddziaływania politycznego. Inni znów ganiają go za nieinterweniowanie w sprawy doli i niedoli człowieka, o ile te zależą od polityki.

2. Pojęcie polityki

Celem uniknięcia błędnych ocen potrzebne jest nade wszystko jasne i trafne ujęcie tego, czym jest polityka. Dotyczy ona stosunków międzyludzkich — zarówno w obrębie państwa, jak i między państwami. Dlatego uprawianie polityki musi kierować się normami i wartościami moralnymi. Do człowieka bowiem nie można godziwie odnosić się inaczej, jak moralnie. Zaprzeczenie moralności jako nadrzędnej miary — czy to w ob-

rzębie polityki, czy w jakiegokolwiek innej dziedzinie życia ludzkiego z ekonomią włącznie — musi prowadzić do rozwiązań niegodnych człowieka.

W decyzjach politycznych musi ostatecznie odzwierciedlać się ład moralny. Ponieważ nie da się uprawiać polityki bez uznawania władzy i stosowania różnych form nacisku, moralność polityczna oznacza moralnie odpowiedzialne stosowanie władzy i nacisku. Rzecz jasna, że stosowanie siły (np. policyjnej) czy groźby, to jedynie część uprawiania polityki — jakby zło konieczne. Inne — powiedzmy, normalne środki — to przekonywanie, pozyskiwanie „na rozum” (argumentami, nakazami prawa).

Działalność polityczna, to działalność na rzecz człowieka, konkretniej na rzecz jednostki, wspólnot, a dzisiaj także na rzecz całej ludzkości. Politykom odpowiedzialnym przyświeca jako cel dobro wspólne w podwójnej postaci. Pierwszym jest dobro pojedynczego państwa, zaś drugie to już dobro całej ludzkości. Nie do pomyślenia jest jednak dobro wspólne bez uszanowania godności osoby ludzkiej oraz praw człowieka. Dobra wspólnego nie można więc ograniczać do dobrobytu i pomyślności. Chodzi w nim przecież bardziej jeszcze o sprawiedliwy podział wszelkich dóbr i wartości, również duchowych, także o sprawiedliwy „przydział” uprawnień, obowiązków i ciężarów. Dodajmy dla jasności, że państwo, to nie cel sam w sobie. Ma służyć ono swym partnerom: jednostce oraz społeczeństwu i wielorakim wspólnotom, z których ono się składa.

Polityka nie powodująca się względami i wartościami moralnymi przeradza się w antypolitykę. Staje się w różnym stopniu polityką barbarzyńską.

Jeśli zważyć, ile w dobie obecnej stosuje się przemocy, ucisków, represji, niesprawiedliwości,

nikczemności a nawet potworności, np. w formie tortur, to wielkich obszarów polityki nie można określić inaczej niż jako przejawów barbarzyństwa moralnego. Jest to cynizm, politykę takiego pokroju nazywać polityką „realizmu”. Wszakże czym innym są ogólne normy moralne polityki, normy bądź to pozytywne, bądź negatywne, czym innym natomiast jest zastosowanie norm w konkretnych, często w nader złożonych sytuacjach. Wiadomo, iż niejednokrotnie z ogólnych norm pozytywnych bynajmniej nie wynikają konkretne rozwiązania. Czasami też różne godziwe drogi prowadzą do tego samego celu.

3. Podmiot działania politycznego

Za podmiot działania politycznego zwykle uważać się państwo, ściślej władze państwowe uprawnione przez tzw. lud, czyli społeczeństwo. W czasach nowożytnych wprowadzono, jak wiadomo, podział i rozdział na władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Od dłuższego już czasu powyższy podział nie dorasta wszelako do stanu faktycznego. Co najmniej bodaj dwa dalsze rodzaje potęgi należy doliczyć do podmiotów — w każdym razie pośredniego — oddziaływania politycznego, a mianowicie potentatów gospodarczych oraz społeczne środki masowego przekazu. Nadto potencjał technologiczny wyrastający z badań przyrodniczych również kryje w sobie źródło oddziaływania politycznego. Słowem, liczbę bezpośrednich podmiotów działalności politycznej należy poszerzyć o pośrednie podmioty oddziaływania politycznego. Tutaj powstaje pytanie, czy Kościół może stanowić podmiot pośredniego oddziaływania politycznego?

4. Kościół hierarchiczny a polityka

Aby odpowiedzieć na pytanie, czy Kościół uprawia politykę względnie oddziałuje na politykę — ewentualnie w jakim sensie i stopniu — dobrze jest uświadomić sobie, w jakich postaciach on się urzeczywistnia. Kościół ukazuje jakby trzy oblicza. Pierwsze to papież, kuria ze swymi kongregacjami i sekretariatami, a więc Stolica Apostolska, drugie to kolegium biskupów, trzecie wreszcie to laikat. Otóż ani papież, ani biskupi i duchowieństwo nie stanowią podmiotu działalności politycznej. Jedyne Stolica Apostolska jako swego rodzaju państwo oraz szereg instytucji poniekąd politycznych, jak np. papieskie

placówki dyplomatyczne, podejmują do pewnego stopnia pośrednio decyzje polityczne. Jedyne laikat, względnie poszczególni laicy mogą, a nawet powinni uczestniczyć wprost w działalności instancji politycznych. I tak np. świeccy chrześcijanie — nie duchowni — przejmują odpowiedzialność i działalność polityczną jako posłowie, członkowie rządu, sędziowie itd. Natomiast papież, hierarchia i duchowieństwo wpływają jedynie pośrednio na politykę.

Cóż to jednak oznacza konkretnie? Chodzi głównie o nauczanie zasad moralnych dotyczących polityki oraz zajmowanie stanowiska zgodnie z tymi zasadami. Zaangażowanie Kościoła w sprawy moralności politycznej biegnie po podwójnej linii. Nie może on milczeć i zachować się biernie, kiedy narusza się godność osoby ludzkiej i prawa człowieka, kiedy społeczeństwu odbiera się podmiotowość i prawa obywatelskie. Musi on wówczas stanąć w ich obronie, o ile nie chce sprzeniewierzyć się własnym ideałom. Musi się zwłaszcza przeciwstawić systemom totalitarnym i dyktatorskim, które ignorują jednostkę oraz społeczeństwo.

Druga linia oddziaływania to nawoływanie do takiego moralno-politycznego układania stosunków międzyludzkich i międzypaństwowych, aby jednostka osiągała pełnię człowieczeństwa, a społeczeństwo pełnię rozwoju. Zaangażowanie tego rodzaju nie przybiera postaci konkretnego działania politycznego. Pozostaje ono w dziedzinie nauczania zasad oraz osądu moralnego, apeli i zaklania.

Do najważniejszych form przeciwstawiania się złu politycznemu oraz popierania i rozwijania dobra politycznego należy bez wątpienia zaliczyć pracę wychowawczą i informacyjną. To niejako praca od podstaw, od korzeni. Usiłuje ona wpłynąć na kształt odpowiedzialnego bytowania. Wychowując człowieka Kościół wychowuje także obywatela, partnera władz państwowych — nie poddanego, jak chciała dawna mentalność zapoznająca godność i podmiotowość jednostki — osoby.

Kościół uczy rzeczy najważniejszych: cnót społecznych i obywatelskich, takich m. in. jak poczucie sprawiedliwości, postawa braterstwa i solidarności, odwaga cywilna, autentyzm i prostolinijność. Wszelako Kościół hierarchiczny uczy nie tylko słowami, lecz własnym przykładem. Bar-

dzo liczy się jego własny styl obcowania z człowiekiem. Ogromne znaczenie ma to, w jakim stopniu on sam uznaje „na codzień” podmiotowość wiernych, w jakiej mierze uznaje ich dojrzałość i odpowiedzialność, ich inicjatywy, twórczą działalność, dobrą wolę. Jakże bogata w implikacje i następstwa jest myśl Jana Pawła II, iż drogę Kościoła stanowi człowiek.

Przyznać trzeba, że Kościół czasów nowożytnych i ostatnich uczynił w tym względzie spore postępy. Czasem trzeba było dopiero zewnętrznych bodźców i wyzwań pochodzących nieraz ze strony przeciwników. Mieli oni niebłahy udział w oczyszczaniu i dojrzewaniu Kościoła w takich sprawach, jak uszanowanie wolności, także wolności wyznania, w docenianiu tolerancji i pluralizmu, w godnym traktowaniu przeciwników, szukających i wątpiących.

Dodajmy jeszcze i to, że z okoliczności, iż Kościół skazany jest na działanie duszpasterskie w dosłownie każdej sytuacji polityczno-społecznej bynajmniej nie wynika, ani że wszystkie ustroje polityczne i społeczne jednako wazą moralnie i duchowo, ani że dla Kościoła jest rzeczą obojętną, w jakim systemie politycznym wypadło ludziom żyć, w jakim ustroju społecznym, w jakich warunkach gospodarczych czy kulturalnych. Komu nie jest obojętny człowiek, ten nie może odnosić się jednakowo do dojrzałej demokracji z jednej strony, a do dyktatur czy totalitaryzmów z drugiej.

Na przekór szeroko rozpowszechnionej opinii demokracja na pewno nie powstaje i nie utrzymuje się samorzutnie — bez dojrzałości moralnej i intelektualnej, w ogóle duchowej — niby automat. Stąd też nie ma powodów, aby traktować ją jako bożyszcze czy tabu.

Różne wydania demokracji kierują się różnymi niestety zasadami moralno-intelektualnymi. Ale z możliwych i faktycznych ułomności demokracji nie wypływa wniosek, iż wobec tego można stawiać demokrację w tym samym rzędzie, co dyktatury czy totalitaryzmy. Aby użyć argumentu religijnego, dyktatura i totalitaryzm nikomu nie mówią, że pochodzą od Boga — jak rzekomo każda władza. Chrześcijanie niestety wykazywali niejednokrotnie sporą krótkowzroczność w ocenie moralnej i religijnej różnych systemów politycznych, społecznych, a dalej gospodarczych i kulturalnych. Przypomnijmy np. nieszczęsne przymierze „ołtarza z tronami”.

Podsumujmy: Kościół hierarchiczny nie będąc podmiotem działalności politycznej, nie ma prawa uprawiania konkretnej polityki — jakby w konkurencji z władzami państwowymi, przyjmując rolę partii, instancji politycznych. Ma natomiast obowiązek nauczania moralności nie tylko indywidualnej i społecznej, ale i politycznej. Ma obowiązek stawania w obronie niesprawiedliwie czy wręcz nieludzko traktowanych.

Oznacza to obowiązek protestu przeciw niesprawiedliwościom i krzywdom politycznym, prawnym, społecznym, gospodarczym, kulturalnym. Protest ten bardzo musiałby stracić na wiarygodności, gdyby Kościół hierarchiczny nie był gotów przykładnie szanować osobowej podmiotowości jednostek czy społecznej podmiotowości różnych grup, np. innowierców czy ateistów, oczywiście również ugrupowań wewnątrzkościelnych.

5. Chrześcijanie i polityka

Uprawianie konkretnej, a zarazem moralnie odpowiedzialnej i wartościowej polityki to rzecz chrześcijan świeckich, nie hierarchii i nie duchowieństwa. Do nich należy tworzenie „docelowych” programów politycznych na miarę sytuacji i potrzeb, a bardziej jeszcze na miarę godności osoby ludzkiej i jej pełnego rozwoju osobowościowego — w oparciu o pełnię prawdy i pełnię wartości. Do nich należy tworzenie partii i instancji oraz instytucji politycznych. Do nich należy czuwanie nad ich godziwością moralną i poziomem intelektualnym.

Jeśli zważyć, że chrześcijanie uznają prócz wartości i prawd głęboko ludzkich także wartości i prawdy osobliwie chrześcijańskie właśnie, tedy nie można się dziwić, że obierają własną drogę — także drogę polityczną. Tym wartościom i prawdom winni oni być wierni. Ale nie mogą też narzucać tej drogi innym, gdzie tylko to możliwe.

Chrześcijanie wyróżniają się swoistym spojrzeniem na władzę, siłę, przemoc oraz służenie, a dalej na bogactwo, zamożność, ubóstwo i nędzę, na dobra materialne i wartości duchowe, na skalę wartości i prawd.

Stąd musi wyrastać odmienny kształt działalności politycznej, prawnej, społecznej, gospodarczej, publicystycznej i kulturalnej w ogóle. Wreszcie świat i wszechświat, materia i życie, człowiek i duch, kultura i historia ukazują się

chrześcijanom w odmiennym kontekście z odmiennym przeznaczeniem.

6. Inny realizm Kościoła i chrześcijan

Dążności i zabiegi Kościoła oraz poszczególnych chrześcijan wyrastają ponad politykę, jako że wyrastają ponad świat, historię i kulturę, ponad doczesność i śmierć. Nie wyczerpują się w polityce, skoro nie mieszczą się bez reszty w czasie i przestrzeni, świecie i wszechświecie, w historii i kulturze.

Kościół musiałby zdradzić siebie samego i sprzeniewierzyć się swemu najistotniejszemu zadaniu, jeśli by śmiało zamykać się w granicach tylko spraw doczesnych. Czy choćby głównie spraw doczesnych.

Ci zatem, którzy głoszą, że Kościół nie różni się istotnie od instancji politycznych, jako że ostatecznie ponoć dąży na równi z innymi do władzy, nie zauważają co najmniej dwóch czynników. Nie widzą najpierw, że dążąc do Boga sięga on daleko poza krąg spraw czysto ludzkich. Nie zauważają — po drugie — że dążąc nawet do tych samych celów, czy to politycznych, społecznych, gospodarczych, czy kulturalnych czyni to przecież inaczej. Chrześcijanie usiłują uczestniczyć — czy to czynnie, czy to biernie — na sposób ewangeliczny w sprawach dotyczących człowieka. Usiłują przemocy przeciwstawić miłość, wykonywanie władzy co najmniej zrównoważyć braterstwem. Zachłanności posiadania i używania chcą przeciwstawić gotowość dzielenia, dobrowolne ubóstwo, umiar czy nawet dobrowolne wyrzeczenia się. Na częste zakłamanie odpowiadają umiłowaniem prawdy, na egoizm altruizmem, a skoro narzeczony jest do postępowania chrześcijańskiego stanowi miłość Boga i bliźnich — do miłowania nieprzyjaciół włącznie.

Takie są ideały, do których oczywiście wielu chrześcijan niestety nie dorastało i wielu nadal nie dorasta. Niemniej sam kształt etyki i skali wartości też coś znaczy, zwłaszcza jeśli dochodzi doń dobra wola. Wreszcie należy uwzględnić tzw. praktykę. Otóż na przekór wszystkim zaniedbaniom i grzechom Kościoła może on mimo wszystko wykazać się najlepszą spośród istniejących praktyk, gdy idzie o zaangażowanie się na rzecz człowieka i społeczeństwa oraz służenie temu człowiekowi. Nie musi się lękać porównania swej praktyki z praktyką jakiegokolwiek państwa, ja-

kiegokolwiek instytucji czy to politycznej, czy dobroczynnej, czy społecznej, a tym bardziej z praktyką jakiegokolwiek ideologii.

7. Perspektywy przyszłości

Współczesność w wymiarze ogólnosięciowym wykazuje wprawdzie wiele osiągnięć, możliwości i szans, ale niestety obfituje także w ogromne zaniedbania i stany rzeczy nie do zniesienia. Do głęboko niepokojących, czy wręcz przerażających faktów należą takie zjawiska, jak zagrożenie nuklearne i środowiskowe, nadużywanie nauki i techniki do zniewalania, a nawet niszczenia ludzi, rażąco niesprawiedliwy podział dóbr i ciężarów, uprawnień i obowiązków, niedożywienie, głód, współczesne niewolnictwo w potrzaskach totalitarnych ideologii i dyktatur.

Co wobec tak Hiobowej perspektywy mogą wnieść chrześcijanie i Kościół hierarchiczny? Mogą wnieść trzeźwość, mądrość i męstwo. Mogą wnieść chrześcijańską alternatywę braterstwa i solidarności, sprawiedliwości i miłości. Słowem wilczemu brakowi etyki, wystającemu z pogardy człowieka mogą przeciwstawić chrześcijańską etykę poszanowania godności ludzkiej oraz poszanowanie podmiotowości społeczeństw i narodów. Chrześcijanie z prawdziwego zdarzenia nawet wobec gehenny nie tracą głowy, serca, sumienia i solidarnych ramion.

Niestety, nie jest pewne, czy chrześcijanie zdołają w przyszłości uwolnić ludzkość od piekła za życia czy od samej zagłady. Pewne natomiast jest, że nawet ponad możliwą złowieszczą zagładą ludzkości, nadzieja chrześcijan nie ustaje. Nie trzeba dodawać, jak wielkie jest ich zobowiązanie, aby wyzwolić ludzkość od współczesnych potworności, od braku „chleba i miłości” (Kolakowski) oraz od Damoklesowego miecza zagłady. ■

Jedyna w Bawarii **POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA**

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

wykonuje:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, plakaty,
odezwy, prospekty, karty świąteczne, ulotki, blankiety
oraz wszelkie inne
organizacyjne, społeczne, przemysłowe i prywatne druki.
Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich.
Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

ROBERT ZUZOWSKI

Pierwszy wolny...

Z HISTORII RUCHU ZWIĄZKOWEGO W PRL

Mija w tym roku 70-ta rocznica istnienia nowego, komunistycznego ustroju. W zależności od perspektywy jest to długi, względnie krótki okres. W dziejach państw i ustrojów politycznych siedem dekad często odpowiada chwili w życiu człowieka.

Ustrój komunistyczny, takim jakim go znamy, czyli sowiecki, zdaje się być niewzruszony na bodźce zewnętrzne, nie zmieniający się, nie podlegający reformom. Wniosek: komunizm jest niezniszczalny. To znaczy niezniszczalny w warunkach pokojowych, a na inne, w dażącej się przewidzieć przyszłości, nie zanoszą się.

Twierdzenie o niezniszczalności komunizmu, czyli mówienie o jego permanentnym, „wiecznym” odtąd istnieniu, jakby potwierdza wywody Karola Marksa. Jest to jednak tylko potwierdzenie pozorne, zawarte jest w nim więcej prorocत्व i pobożnych życzeń niż empirycznej prawdy.

Z faktu, że ustrój komunistyczny w Związku Sowieckim uniknął, jak dotąd, istotnych instytucjonalnych przemian, a struktury jego nie uległy zasadniczym reformom, nie wynika wcale, iż takowe przemiany nie miały miejsca gdzie indziej. Sąsiadująca z Moskwą Polska jest chyba tego

najlepszym przykładem. W 40-letnich z okładem dziejach komunistycznej PRL możemy co najmniej dwukrotnie wskazać przykłady znaczących przemian (reform) instytucjonalnych tego ustroju. Pierwsza miała miejsce ponad 30 lat temu na Wybrzeżu.



Emblemat pierwszego wolnego związku:
„po około rocznej działalności zniszczony”.

Powstał wówczas pierwszy wolny związek zawodowy w świecie komunistycznym, który nazywał się Związek Zawodowy Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich.* Zrzeszał on ok. 3 tys. członków. Założony został 4. 11. 1956 r. w Gdyni, „a wszystko zaczęło się od Stoczni Gdańskiej”, jak twierdzi jego były przewodniczący.

Związek Zawodowy Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich istniał ok. roku, jego głównym zadaniem było umożliwienie swoim członkom powrotu do pracy na morzu, do pracy, którą utracili w wyniku represji w okresie stalinowskim. W tym też celu ludzie ci zrzeszyli się w organizacji, która reprezentowała ich interesy wobec władzy państwowej, była więc organizacją niezależną, nie kontrolowaną przez rząd PRL i z tego też powodu została wkrótce, po około rocznej działalności, zniszczona.

Wiadomo, że w komunizmie każda zorganizowana działalność podjęta nie z inicjatywy

Otwórzmy oczy siedzącym w gabinetach

W ostatnim numerze tygodnika *Świat* z roku 1956 ukazał się artykuł zatytułowany „Otwórzmy oczy siedzącym w gabinetach”. Artykuł ten wydrukowany został w kilka tygodni po powstaniu niezależnego Związku Zawodowego Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich i poświęcony jest działalności nowego związku. W tym czasie Włodzimierz Schilling-Siengalewicz nie był jeszcze przewodniczącym związku, wybrano go na to stanowisko w styczniu 1957 r. Poniżej zamieszczamy fragment owego artykułu pióra Kazimierza Strzałki.

Historia powstania Związku Zawodowego Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich jest nader charakterystyczna dla okresu, który obecnie przeżywamy. Na długo przed VIII Plenum Partii atmosfera na Wybrzeżu i we flocie przypominała beczkę z dynamitem. Rosły zastępy zmaltretowanych i wyrzucanych z pracy marynarzy i rybaków. Nawarstwiały się grube błędy i nadużycia popełniane przez ignorantów i karierowiczów „administrujących” na różnych szczeblach urzędniczej drabiny sprawami naszej floty. Rodziły się „poronione pomysły”...



W. Schilling-Siengalewicz:
„otwórzmy oczy siedzącym w gabinetach”.

uż wtedy, przed Polskim Październikiem, powstały pewne koncepcje s a m o o b r o n y ze strony marynarzy. Mówiło się o utworzeniu marynarskiego komitetu. Dopiero jednak VIII Plenum było iskrą. Na Wybrzeżu zakotłowało się. Ze statków pływających po morzach posyłały się depesze. Zawładzał się Komitet Rewolucyjny, który opowiadał się całkowicie za programem tow. Gomułki. Ludzie morza na wiecach i masówkach postawili jasne postulaty: rozbudowa polskiej floty handlowej, modernizacja i usprawnienie pracy portów, jawność umów gospodarczych, zatrudnienie fachowców w Mi-

nisterstwie Żeglugi, rehabilitacja niewinnie skazanych i wydalonych z pracy...

W sali Szkoły Morskiej w Gdyni 4. 11. 1956 odbyło się burzliwe zebranie marynarzy i oficerów PMH (Polskiej Marynarki Handlowej) oraz absolwentów Szkoły Morskiej. Wybrano Tymczasowy zarząd Związku Marynarzy i Rybaków, powołano komisję Rehabilitacyjną, zażądano powrotu do pracy w PMH na stanowisko ministra żeglugi prof. dr. Stanisława Darskiego, jak również zażądano własnej reprezentacji w Sejmie.

Centralna Rada Związków Zawodowych postawiona została przed faktem dokonanym spontanicznego powstania nowego związku — naprawdę rewolucyjnego i potężnego. Na tę spontaniczność złożyły się — wielki gniew i wielka nadzieja.

...jedynie Związek Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich reprezentować może właściwie interesy ludzi pływających po morzach.



Wł. Schilling-Siengalewicz:
(zdjęcie współczesne).

Nie chcę bawić się w proroka, boję się jednak, aby rewolucja, jaka dokonała się na Wybrzeżu, nie została rozmleniona na drobne spory proceduralno-szufladkowe. W chwili gdy to piszę, nie został jeszcze zalegalizowany przez CRZZ (Centralną Radę Związków Zawodowych) statut Związku Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich...

Jedno jest na pewno pocieszające: że ludzie nie boją się już teraz mówić o wszystkim, co ich boli. Dawniej było to nie do pomyślenia. Kiedy w 1949 r. obecny działacz związkowy W. Siengalewicz ośmielił się podjąć krytykę ob. Berezeckiego (sekretarza POP przy Gdynia-America Lines), rozpoczął swoje przemówienie od słów: „Towarzysze! Otwórzmy oczy ludziom siedzącym w gabinetach!” Za to przemówienie „wyleciał” z floty. Dziś wyprzedaje ostatnie meble...

władz, nie podlegająca ich kontroli, uważana jest za sprzeczną z samą ideą komunizmu. I w rzeczy samej, ustroj ten opiera się bowiem na rządach autokratycznych, na rządzeniu niepodzielnym, to jest na rządzeniu *jednej osoby czy też jednej grupy ludzi*. Jakikolwiek rozproszenie władzy, jej podział, oznacza koniec ustroju autokratycznego, jakim właśnie jest komunizm.

Niedzielenie się władzą z nikim stanowi istotę tego ustroju, głównie ta właśnie cecha umożliwia odróżnienie go od innych ustrojów politycznych. Zdają sobie z tego doskonale sprawę zwolennicy, jak i przeciwnicy komunizmu. I to jest zasadniczy powód, dlaczego Związek Zawodowy Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich, jak i Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” istniały tak krótko. Dziwić się raczej należy, że w ogóle powstały i przez jakiś czas oficjalnie działały.

Znaczenia powstania niezależnego ZZMiRD nie da się chyba przecenić. Wydarzenie to bowiem udowodniło w sposób namacalny i oczywisty dla każdego, że komunizm także może podlegać (i podlega) drastycznym przemianom. Przemianom sięgającym jądra tego systemu, jakkolwiek krótkotrwałe by one nie były. Teoretycznie rzecz biorąc ustroj komunistyczny z wkomponowaną wewnątrz niezależną organizacją społeczną nie jest już komunizmem, gdyż utracił tę cechę, która odróżnia go od innych ustrojów, a mianowicie, niepodzielną władzę.

W momencie, gdy przedstawiciele rządu PRL pertraktowali z przedstawicielami wolnych związków zawodowych, część niepodzielnej dotąd władzy została przezeń scedowana na rządzących, a konkretnie na ludzi zrzeszonych w tym związku. Możemy więc mówić tu (oczywiście z pewną przesadą) o wyłonieniu się dwuwładzy, co zresztą natychmiast tak właśnie zostało określone przez przywódców komunistycznych.

Istnienie przez dłuższy czas związków i organizacji nie podległych kontroli władz oznacza i w praktyce i w teorii zanik komunizmu, albowiem, powtórzmy to jeszcze raz, podzielną władzę i komunizm są to pojęcia wykluczające się nawzajem. Jak do tej pory nie udało się na stałe przełamać monopolu władzy, jej niepodzielnosci ani w PRL, ani w jakimkolwiek innym kraju komunistycznym. Tym niemniej jednak w Polsce udało się dokonać tego na ograniczony przeciąg czasu.

Teraz, gdy wiadomo że próba taka może zakończyć się chwilowym sukcesem, chodzi już wyłącznie o przedłużenie w czasie tego sukcesu, uczynienie go *trwałym*.

Związki zawodowe to „miękkie podbrzusze” polskiego komunizmu. Z tego też powodu należy podkreślić znaczenie Związku Zawodowego Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich, związku który odegrał *pionierską* rolę w tej dziedzinie, utorał drogę innej, następnej generacji Polaków. Dowiódł, że – co brzmi jak paradoks – oficjalna, niezależna, zorganizowana działalność w komunizmie jest *możliwa*.

W 1956 i 1980 roku próby założenia wolnych związków zawodowych zakończyły się sukcesem. Ale nie oznacza to, że były to jedyne próby w tej dziedzinie. W grudniu 1970 r. strajkujący robotnicy dwóch stoczni szczecińskich (Stoczni im. Adolfa Warskiego i Stoczni Remontowej) na pierwszym miejscu na liście postulatów skierowanych do władz PRL umieścili następujące żądanie: „Żądamy niezależnych związków zawodowych”. Jak wiadomo, wówczas przegrali.

Charakterystyczne, że gdy chodzi o powojenne dzieje związkowców, to władze komunistycznej Polski od samego początku miały z nimi nieustanne kłopoty. Stanisław Mikołajczyk, w czasie ostatniej wojny premier rządu polskiego w Londynie, a wkrótce potem wicepremier rządu PRL, w opublikowanej na Zachodzie książce pt. „The Rape of Poland” pisze, że w maju 1946 roku w Gdańsku „funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa usiłovali zastraszyć nasze (Polskiego Stronnictwa Ludowego) zebranie. Jednakże twardzi i nieugięci dokerzy rzucili się na nich i usunęli ubeków z sali. Dwa tygodnie później UB urządziło naloł na zebranie tych samych dokerów. Nastąpiła bójka, w wyniku której kilku robotników zostało zabitych. Zginęło także dwóch pracowników UB. Przywódców związku zawodowego stoczniowców aresztowano i zesłano do Rosji, jako osoby zbyt niebezpieczne żeby mieszkać w rejonie zatoki (Gdańskiej). Setki członków związku zostało usuniętych ze swoich mieszkań i rozrzuconych po całym kraju.”

Relacje Mikołajczyka o kłopotach UB ze związkowcami potwierdził w parę lat później jeden z wyższych rangą pracowników Urzędu Bezpieczeństwa, Józef Światło. Wkrótce po ucieczce nas Zachód, w grudniu 1953 r., w audycji Radia

Wolna Europa stwierdził on, iż „reżym nie bardzo daje sobie radę ze związkami zawodowymi i ma z nimi od czasu do czasu duże kłopoty”.

Zaiste „kłopoty” Urzędu Bezpieczeństwa musiały być nie tylko „duże”, ale i narastające, gdyż w trzy lata po ucieczce Józefa Światły na Zachód władze PRL zgodziły się na podjęcie bezprecedensowej w historii światowego komunizmu decyzji, mianowicie, wyraziły zgodę na utworzenie wspomnianego już niezależnego Związku Zawodowego Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich.

W *Tygodniku Solidarność* z 17. 07. 1981 r. historyk Krystyna Kersten pisze, że „Październikowym poprzednikiem Lecha Wałęsy był Lechosław Goździk, sekretarz POP PZPR w FSO na Żeraniu”. Twierdzenie to wydaje się być nieścisłe, a analogia raczej chybiona, jako że autorka nie porównuje ze sobą dwóch postaci pełniących identyczne funkcje. Lechosław Goździk w przeciwieństwie do Lecha Wałęsy nigdy nie był przywódcą wolnego związku zawodowego. Jeśli już uciekać się do paraleli, to wydaje się, że należy porównać Lecha Wałęsę z przywódcami niezależnego ZZMiRD, na przykład z Włodzimierzem Schilling-Siengalewiczem, członkiem-zastępcą i byłym przewodniczącym tego związku, który od 1957 roku przebywa na Zachodzie.

Po aresztowaniu, a następnie nieudanym zamachu na jego życie Włodzimierz Schilling-Siengalewicz obawiając się dalszych i skuteczniejszych represji osiedlił się najpierw w Hamburgu, by po kilku latach przenieść się na stałe do Australii. Urodził się w 1917 r. w Żywcu. W 40 lat później wspólnie z redaktorem Januszem Chydzynskim z tygodnika *Po Prostu* założył on pierwszy w świecie komunistycznym wolny związek zawodowy. W wyniku szykan i represji ze strony władz związek przestał istnieć po upływie roku, ale precedens został stworzony.

W prawie ćwierć wieku później powstał w Polsce kolejny wolny związek zawodowy „Solidarność”. Licząca ok. 10 mln członków organizacja wstrząsnęła potężnie fundamentem komunizmu, wywołując przerażenie nie tylko wśród władz PRL ale i reszty komunistycznego świata. Obawa i strach o dalsze istnienie komunizmu w Polsce i gdzie indziej spowodowały ogłoszenie wojny przeciwko społeczeństwu i likwidację związku. Ale choć „Solidarność” nie istnieje, procesy wywołane jej uprzednią działalnością nadal trwają, a

ich wpływ na życie polityczne w Polsce jest więcej niż znaczny.

W Polsce ruchom i siłom przeciwnym komunizmowi, jako pierwszym w świecie udało się zastawić nogą drzwi, drzwi pomieszczenia, za którymi mieszka ta ideologia. To prawda, daleka jeszcze jest stąd droga do eksmisji lokatora, ale początek, choć skromny, został już wszak poczyniony. A zaczął się od Włodzimierza Schilling-Siengalewicza i jego kolegów.

Z dotychczasowych wywodów wynika, iż w powojennej historii komunistycznej Polski walka o niezależne od władzy związki zawodowe toczyła się przede wszystkim i najintensywniej na Wybrzeżu, głównie w rejonie Trójmiasta. Nasuwa się refleksja, dlaczego właśnie Polacy mieszkający nad morzem, a nie w innych regionach Polski walczyli i walczą wytrwale o niezależne związki?

O powstaniu w 1956 roku w Polsce wolnego Związku Zawodowego Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich prawie nikt nic nie wie. Na ten temat panuje w Polsce absolutna cisza. I znowu nasuwa się refleksja, skąd ta cisza wokół pierwszego wolnego związku zawodowego w komunizmie? Powody? Przecież „Solidarność” nie ma powodów wstydić się swojego poprzednika. Powstaje wrażenie, że to „Solidarność” była pierwszym wolnym związkiem zawodowym w Polsce i w świecie komunistycznym, a przecież tak wcale nie było.

* Faktycznie Związek ten był znany pod trzema (nieznacznie różniącymi się) nazwami. Oprócz wymienionej nazwy używano także: „Związek Zawodowy marynarzy i Rybaków” oraz „Związek Zawodowy Marynarzy i Rybaków Morskich (ZZMIRM)”. ■

100 LAT IMPERIALNYCH PODBOJÓW MOSKWY NA ŚRODKOWYM WŚCHODZIE



Poczta Podziemna

Znaczkę w trzech kolorach á DM 4,-. Do zamówienia prosimy doliczyć DM 1,- na koszty przesyłki.

Prywatne rozmyślenia

1.

W Bonn rozeszły się pogłoski, że lada moment Gorbaczow przedstawi ofertę zjednoczenia obu części Niemiec. Warunki na jakich Związek Sowiecki wyraziłby na to zgodę są na razie nieznanne — być może byłyby dokładnie takie same jak te, które przed prawie 30 laty przedłożył Adenauerowi Stalin, a więc wycofanie wszystkich obcych wojsk, pełna demilitaryzacja i całkowita neutralność. Jak sądzę, ewentualna propozycja Gorbaczowa — jeśli w ogóle nosi się on z takim zamiarem — pomyślana jest jako rodzaj marchewki na wypadek, gdyby w wewnątrzkoalicyjnej dyskusji: „opcja zerowa” czy „podwójna opcja zerowa”, zwyciężyła ta druga koncepcja. Wówczas cel militarny Związku Sowieckiego w Europie mógłby być osiągnięty w ogóle poza rokowaniami rozbrojeniowymi. Oczywiście warunkiem koniecznym powodzenia są — po pierwsze, całkowita suwerenność rządu w Bonn przy podejmowaniu tego rodzaju decyzji strategicznych — po drugie, zanik instynktu samozachowawczego.

Zawsze byłem zwolennikiem zjednoczenia Niemiec i zawsze głośno to mówiłem. Moje stanowisko w tej sprawie było ugruntowane przede wszystkim moralnie. Rozdzielenie granicami, zasiekami, murami narodu o wspólnym języku, kulturze, historii jest zawsze zbrodnią, niezależnie od tragicznych, dziejowych okoliczności, które stały się bezpośrednią przyczyną podziału. Zwłaszcza my, Polacy, mający za sobą doświadczenia zaborów powinniśmy to dobrze rozumieć i głośno protestować przeciw rozywaniu na sztuki żywych, narodowych organizmów. Nie można po czasach bezprawia stanowić sprawiedliwości przez nowe krzywdy. Nie można budować pokojowego ładu dzieląc narody i szczupiąc je przeciwko sobie.

Ale i względ polityczny każe być zwolennikiem zjednoczenia Niemiec każdemu, kto

uważa się za Europejczyka. Trudno przecież, by ktoś o zdrowych zmysłach uznał za prawdziwe twierdzenie, że granica niemiecko-niemiecka jest elementem stabilizacji na naszym kontynencie. Przeciwnie, jest raczej punktem stałym zapalnym, już nie tylko dlatego, iż stanowi granicę dwóch bloków militarnych, ale przede wszystkim dlatego, że naród niemiecki nigdy się z jej istnieniem nie pogodzi i zawsze dążyć będzie do jej zniesienia. W ten czy inny sposób, z tych czy innych pobudek — ideologiczno-hegemonistycznych czy patriotycznych — wszystko jedno. Problem jedności Niemiec istnieje i będzie istniał tak długo, jak długo stoi mur berliński. I tak długo drążyć będzie i trzymać Europę w niepewności kwestia niemiecka.

Spotkałem się niejednokrotnie — także na emigracji — ze stwierdzeniem, iż istnienie dwóch państw niemieckich jest dla Polaków korzystne, a jeszcze bardziej korzystne byłoby istnienie trzech, czterech — słowem jak największej ich liczby. Na ogół mówią to ludzie tęsknie spoglądający już nie tylko w stronę Wilna i Lwowa, ale Kijowa i Smoleńska. Mickiewicz napisał w „Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego”: „Kto mówi o interesach jednego tylko narodu, ten jest nieprzyjacielem wolności”.

Nieprzyjacielem wolności jest też ten, kto strasząc Polaków widmem zjednoczenia — a więc automatycznie zaborczych Niemiec — usprawiedliwia w ten sposób sowiecki dyktat nad Polską. Osobiście mam wielkie wątpliwości, czy do zgniecenia „Solidarności” w Polsce gotowa byłaby armia zjednoczonych Niemiec, gdyby państwo to było tak demokratyczne i pokojowo nastawione, jak dzisiejsza RFN. Wątpię czy armia takich Niemiec wkroczyłaby — jak to zrobiła Narodowa Armia Ludowa NRD — wraz z Armią Czerwoną do Czechosłowacji.

Ale są to tylko rozważania czysto teoretyczne. Daleko ważniejsze jest dostrzeganie politycznych realiów w Europie. Powiada się, że pozycja Polski stanowiła zawsze element wypadkowy stosunków niemiecko-rosyjskich. Im były one lepsze, tym gorsze było położenie Polski. I odwrotnie. Pod tym względem niewiele się zmieniło. Przyjaźń polsko-sowiecka jest elementem stosunków między Niemcami jako całością – a nie stosunków ZSSR-NRD czy ZSSR-RFN. Polska, granica na Odrze i Nysie, Ziemia Zachodnie i Północne, to jest karta, którą trzyma w zanadrzu Gorbaczow i jeśli okaże się to dlań konieczne – zagra nią bez wahania. I to zgodnie ze wszystkimi postanowieniami z Teheranu, Jałty i Poczdamu, zgodnie z umową czterech mocarstw, iż ostateczny przebieg granicy polsko-niemieckiej wyznaczy traktat pokojowy. I cóż Polska Ludowa będzie mogła temu przeciwstawić? Oddziały ZOMO? Publicystykę Podkowińskiego lub Wojny? A cóż będzie mogła przeciwstawić emigracja? Wspominki kombatanckie i komunały endeckie z czasów, gdy nad Europę nadciągały chmury różnych odcieni faszyzmu? Nawet Kościół odszedł dość daleko od idei pojednania, rzuconej przez Prymasa Wyszyńskiego i w licznych wypowiedziach Jego następcy znaleźć można ślady uprzedzeń.

W tej ewentualnej rozgrywce jedynym sojusznikiem Polaków może być naród niemiecki, a właściwie ta jego część, która ma demokratycznie zagwarantowane prawo swobodnej wypowiedzi. Jedyne te demokratyczne, pokojowe czynniki w narodzie niemieckim mogą zapobiec handlowym transakcjom ziemiami zamieszkałymi dziś przez Polaków. Aby się od nich tego domagać w imię praw moralnych, w imię pokoju i dobrosąsiedzkich stosunków, trzeba uznać ich dążenie do zjednoczenia obu części Niemiec w wolną, demokratyczną Republikę.

2.

Co poniektórzy martwią się już dzisiaj problemami, które wypadnie przy zjednoczeniu rozwiązać. A są one nieblahe. Na przykład na jakich zasadach przeprowadzić reprivatyzację dóbr znacjonalizowanych w NRD? Albo – jak przyznawać renty? Czy szpicel wschodniemieckiej policji politycznej, albo agent działający na Zachodzie będą mieli prawo do emerytury? Co zrobić z sędziami wydającymi drakońskie wyroki na dysydentów? Co z tytułami naukowymi osób, któ-

re doktorat uzyskały na kursach wieczorowych marksizmu-leninizmu?

Przez wiele lat działała nad Renem komisja zajmująca się nie tylko tymi zagadnieniami, ale także utrzymująca stałe kontakty z zachodnią Wielką Trójką, ustalając na bieżąco zasady, na jakich mocarstwa zachodnie byłyby gotowe zaakceptować zjednoczenie. Ale to wszystko są szczegóły techniczne, proste do rozwiązania. Mnie osobiście przerażałyby przy takiej operacji dwie rzeczy – po pierwsze wybory powszechne w zjednoczonych już Niemczech. Znamy wszyscy sprawność, z jaką wybory takie przeprowadzono tuż po wojnie w Polsce, Czechosłowacji i gdzie indziej. Wszystko zaczyna się zwykle od cudów nad urną albo zasady klucza, a potem jest już za późno. Gdyby na przykład połączyć dziś RFN z NRD i powołać wspólny parlament na zasadzie właśnie klucza ilościowego, proporcjonalnie do liczby członków partii, to najsilniejszą frakcją byłaby frakcja SED.

Ale druga sprawa jest znacznie poważniejsza – różnica mentalności mieszkańców obu państw niemieckich, którą jaskrawo widać choćby na przykładzie niemożności przystosowania się do tutejszych warunków osób przybyłych z NRD. Ich bezradność w obliczu wolnej konkurencji, przyzwyczajenie do rozdziału dóbr i przywilejów, ale i do podejmowania decyzji przez charyzmatyczną władzę, może nasuwać obawę, że zamiast się integrować, Niemcy podzieliłby się na kasty. No i rzecz najgroźniejsza – przyzwyczajenie członków organizacji politycznych zza Łaby do oczywistego dla nich faktu, że do organizacji takich należy się, aby mieć z tego coś konkretnego. Konsumpcyjne nastawienie wobec działalności politycznej może rozłożyć na łopatki najlepiej nawet pomyślaną demokrację. Czego oczywiście Niemcom nie życzę.

3.

Swoją drogą nie mogę się doczekać, kiedy pogłoski o propozycjach Gorbaczowa staną się rzeczywistością. Moja niecierpliwość bierze się z pobudek niskich. Chcę zobaczyć, co będą pisać w różnych *Trybunach Ludu* i *Rzeczywistościach* fachowcy od straszenia Polaków odwetowcami i rewizjonistami z Bonn, co będą mieli do powiedzenia apologetci „narodu NRD”, ostatecznego charakteru granic w Europie, obrońcy nienaru-

szalności porządku europejskiego, wartownicy przynależności NRD do wielkiej rodziny miłujących pokój krajów socjalistycznych. Ale pewnie nie będę miał żadnej satysfakcji, bo jak zawsze dadzą sobie radę dialektycznie. Zwłaszcza jeśli Honecker pozostanie u władzy.

4.

Po tym wszystkim co napisałem można by mi zarzucić zdrową porcję politycznego idealizmu i naiwności. Tylko – zakładając, że bońskie pogłoski, rozsiewane m. in. przez byłego ministra gospodarki RFN z ramienia FDP, hrabiego Lambsdorffa, okazały się rzeczywistością – nie będzie miał kto postawić mi takiego zarzutu. Już dziś nie mogą go stawiać zwolennicy oswobodzenia Polski spod sowieckiej hegemonii, bo kto wtedy będzie bronił granicy na Odrze i Nysie? Londyńscy endecy? A może Amerykanie wyślą notę protestacyjną i odwołają swego ambasadora na konsultację? Gdy zaś propozycja padnie, o politycznej naiwności takich jak ja nie będą też mogli mówić zwolennicy przyjaźni polsko-sowieckiej i miłośnicy NRD, pierwszego w dziejach, jak go się nazywa, robotniczego państwa niemieckiego.

Już dziś to pierwsze w dziejach robotnicze państwo niemieckie, połączone więzami przyjaźni z Polską, rozszerzyło strefę wód przybrzeżnych do 12 mil i rozciągnęło swoją suwerenność także nad torem wodnym wiodącym do Świnoujścia i Szczecina, gdzie demokratyczne kanonierki ostrzeliwują polskie jachty i statki rybackie. Czy podniósł się w tej sprawie w NRD jakiś niezależny głos protestu? Choćby z towarzystwa przyjaźni NRD-PRL. Bogać tam. Skądinąd jednak, dlaczego Niemcy wschodni mieliby być lepszymi patriotami polskimi od Polaków siedzących w rządzie i Biurze Politycznym, którzy też nabrali wody morskiej w gębę. Być może jestem naiwny, ale pragnę sobie pochlebić, że nie jestem ani głupi, ani ślepy.

5.

Stosunek emigracji do Niemców jest pełen chorobliwego, nacjonalistycznego obłędu. W londyńskim *Dzienniku Polskim* p. J. J. Korabiowski publikuje list, z którego wynika, że Berlin nie jest może tak całkiem miastem polskim, ale na pewno słowiańskim. Wtóruje mu w parę dni później p. L. Łukowski, którego muszę zacytować:

„...pragnę zwrócić uwagę naszych czytelników, że o tej rocznicy (Berlina – przyp. MRR) pisze Józef Kisielewski w książce »Ziemia gromadzi prochy«. Autor zwiedza autokarem w 1937 roku hitlerowskie Niemcy i pisze reportaż na 700-lecie Berlina. Na stronie 231 podaje: »Pomysł urządzenia jubileuszu miasta Berlina był pomysłem nagłym i nowym...«. Był to chwyt hitlerowskiej propagandy. Na str. 235 pisze: »pod datą roku 1237 w dokumentach historycznych nazwa stolicy dzisiejszych Niemiec nie była zanotowana...«. Pragnę zaznaczyć, że w Atlasie Historycznym Świata, wydanym Warszawa 1974, Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych, miasteczko Berlin pojawia się pierwszy raz na mapie »Europa w końcu XV wieku«. W poprzednich wiekach Berlina jeszcze nie ma na mapach, ale są już miasta Głogów, Legnica, Miśnia, Lipsk, Lubosz, Brandenburg, Magdeburg, a przecież obecny Berlin leży w środku tych miast. Te ziemie wokół Berlina, to ziemie naszych pradziadków, ale Niemcy chcą wmówić światu, że to oni są ich spadkobiercami.»

Napisawszy to wszystko p. Łukowski wzywa „naszych historyków” by zajęli się tą sprawą. Nie jestem wprawdzie ani historykiem, ani już tym bardziej „naszym”, ale głos zabieram, gdyż jestem posiadaczem pewnego wydawnictwa. Nie jest wprawdzie ono tak wiarygodne, jak to, które wyszło spod pióra Józefa Kisielewskiego po jego wycieczce autokarowej po hitlerowskich Niemczech, ani też nie zostało wydane w roku 1974 przez Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych w Warszawie. Można wszak z pewnością wykluczyć, że redagowali je niemieccy odwetowcy, ponieważ nazywa się ono „Encyclopaedia Britannica”.

Otóż z tego dzieła, którego lekturę polecam z całego serca p.p. Korabiowskiemu i Łukowskiemu wynika, że po raz pierwszy zapis o istnieniu Berlina pojawił się w roku 1244. Siedem lat wcześniej zapisano istnienie miejscowości Kölln, dziś jednej z dzielnic Berlina. Kölln i Berlin powstały wedle oceny historyków w początkach XIII wieku. Ale pierwsza twierdza na terenie dzisiejszego Berlina – Spandau, powstała już w 1160 roku, zaś prawa miejskie otrzymała w 1232. W 1250 roku zespół miejski Berlin–Kölln dominował nad całymi wschodnimi Niemcami aż po Odrę.

Ponieważ nie zamierzam tu streszczać encyklopedii, pominię więc całą historię osadnictwa

na tych ziemiach, pytanie dlaczego Serbo-Łużycanie mieliby być Polakami (pewnie na takiej samej zasadzie jak Ukraińcy i Litwini), co robił Albrecht I Niedźwiedź na tych terenach około roku 1100, jakie były na przestrzeni całej historii stosunki Polski z Saksonią i dlaczego Słowianie przetrwali tu aż do dziś, bo to jest zadanie dla paru profesorów historii na kilka książek, a i tak pewnie panom, z którymi polemizuję nie zmieniliby to przekonań. Najgorzej, jeśli ktoś zabiera się do poprawiania historii w imię osobistych bądź też stadnych poglądów. Zaliczenie Magdeburga i Brandenburga do historycznej spuścizny Polaków pomijam miłosiernym milczeniem. Zastanawia mnie jednak, dlaczego organ — jeśli nawet nieoficjalny — rządu RP na Wychodźstwie pomieszcza takie listy. Czyżby opinia, że Berlin należy przyłączyć do Polski zasługiwała na publikację? Czyżby uznano, że należy budzić w emigrantach najciemniejsze strony plemiennej pomsty, czyżby w skład programu dla przyszłej, demokratycznej Polski miało wchodzić przywrócenie również ofiar całopalnych z ludzi, stawianie chrampów i gontyn oraz czczenie świętych dębów? Wystarczy by

ktos w Niemczech napisał, że Wrocław był miastem niemieckim nie tylko w roku 1944, ale i w 1444, a już Stowarzyszenie Polskich Kombatantów gotowe robić wieczorek protestacyjny z tombolą, na którym oczekuje się, iż Niemcy przytakną, że Berlin zawsze leżał w sercu Polski. Rozpisałem się na ten temat, bo mnie trzęsie cholera. Zamiast przyłączać do Polski Berlin, przyłączajcie lepiej Polskę do Europy, bo Polska nie leży dziś w Europie, tylko w Azji. I to w Azji Wschodniej.

6.

Wszystko w gruncie rzeczy sprowadza się do słów. Program stosunków z Niemcami głoszony przez PZPR ujęto słowem „normalizacja”. Program Prymasa Wyszyńskiego skupił się w słowie pojednanie. Warto przemyśleć nie tylko filozoficzną różnicę zakresu znaczeniowego obu pojęć, ale także najwyczejniej w świecie, praktyczną. Normalizacją zająć się mogą w traktatach i układach rządu. Ale pojednanie znaleźć każdy musi w sobie. ■

LIBELLA

12, rue St-Louis-en-l'Île — 75004 Paris, France
 Metro: Pont Marie Tel 43-26-51-09
 poleca swoje wydawnictwa

Cena franków fr.

BARAŃCZAK, St. : „Czytelnik ubezwłasnowolniony” — Perswazja o masowej kulturze literackiej PRL	55.00
CASTEX-SUPER : „Wypisy i studia z literatury łacińskiej XX wieku”	20.00
CZARNYSZEWICZ, Fl. : „Łosy pasierbów” — powieść o pionierach powojennej emigracji do Argentyny	40.00
DZIEWANOWSKI, K. : „Złom żelazny, śmiech pokoleń”	80.00
JAGIELLO, K. : „Krzyż i kotwica”	65.00
KERSTEN, K. : „Narodziny systemu władzy” — Polska 1943-1948	120.00
KOMAR, M. : „Zmęczenie” — od marksizmu do terroryzmu	95.00
KRALL Hanna : „Sublokatorka” — powieść autorki „Zdążyć przed Panem Bogiem”	65.00
KRÓL Marcin : „Podróż romantyczna”	95.00
MAJCHROWSKI, J. : „Geneza politycznych ugrupowań katolickich” — Stronnictwo Pracy, Grupa „Dziś i jutro”	69.00
PICON, G. : „Panorama myśli współczesnej” — wybór źródłowych tekstów ze wszystkich dziedzin nauki i sztuki	60.00
POPIELUSZKO, J., ks. : „Kazania patriotyczne. 1982-84.	95.00
PRZYBYLSKI, R. : „Wdzięczny gość Boga” — esej o poezji Mandelstama	50.00
ROMANOWICZOWA, Z. : „Baśka i Barbara” — opowiadania o narodzinach i wychowaniu polskiego dziecka na obczyźnie	65.00
SZCZEPAŃSKI, Jan Józef : „Kapitan” — opowieść	55.00
WŁODARCZYK, W. : „Socrealizm” Sztuka polska w latach 1950-1954	80.00
ZIMAND, R. : „Dziennik Adama Czerniakowa” próba lektury	25.00

plus przesyłka 10 %

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT
 Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie

O „Alternatywie” raz jeszcze — inaczej

Suplement do artykułu „Underground” w Polsce
(„Pogląd” nr 5/126)

Cała ta historia zaczęła się przed dziesięciu laty — w lipcu 1977 r. Wówczas to na łamach najbardziej liberalnego tygodnika kulturalnego w Polsce *Literatura*, którego redaktorem naczelnym był — paradoksalnie, a może nie? — Jerzy Putrament, komunistyczny pisarz i działacz, były minister — ukazał się obszerny artykuł, zatytułowany „Punk — moda, rewolucja czy?...”. Artykuł wydrukowano na pierwszej stronie, ale i tak podobno przeleżał w redakcji trzy miesiące, zanim udało się przekonać partyjną cenzurę, że może ujrzeć światło dzienne. Wkrótce potem przedrukował go miesięcznik *Non-Stop* — jedyne wówczas w Polsce pismo, poświęcone muzyce pop, wydawane półoficjalnie, na kiepskim papierze, ale za to mające czytelników, którzy ustawiali się w kolejkach przed kioskami (prenumerata nie była możliwa). Żeby nie było niedomówień: w artykule dopiero co wspomnianym pisywano angielski, rodzający się dopiero rynek nowej fali rocka, pokazując zarówno jego buntownicze oblicze, jak i przewidywane w przyszłości związki z komercyjnie nastawionymi wytwórniami płyt.

Artykuł, o którym mowa ukazał się przed wybuchem społecznym 1980 roku, w najgorszym dla muzyki pop i dla polskiej gospodarki momencie. Dlatego oddźwięk, z jakim się spotkał wśród młodych ludzi, nie był wyartykułowany bezpośrednio. Któż traktowałby poważnie naśladowców angielskich punks, nie umiejących do końca określić, przeciwko komu i czemu protestują (kapitalizmowi, którego w Polsce niestety nie ma?, socjalizmowi, który przez „alternatywnych” Anglików traktowany był z sympatią?) — skoro w tym sa-

mych czasie rodziła się poważna opozycja polityczna i związkowa przeciwko reżymowi, nie posługująca się przecież znakami show-bisnesu (agrafki w uszach, kolorowe czuby na głowach, płyty z kolorowego winylu), lecz znakami akceptowanymi przez „dorosły” świat pieniądza, polityki i ideologii: głodówki protestacyjne w kościołach, zbiórki pieniędzy dla rodzin aresztowanych kolegów, podziemne „latające uniwersytety”, jeszcze bardziej podziemne „raporty” na temat polskiego zadłużenia za granicą.

Swoista abnegacja polskiej młodzieży ogłupianej w drugiej połowie lat 70-tych muzyką niesłychanie komercyjną, prawie wyłącznie dyskotekową, była tak rozległa, że polska grupa punk „Brygada Kryzys” nagrała swój pierwszy (i chyba ostatni) LP w Paryżu, podczas prywatnego pobytu członków zespołu we Francji. Nie było w Polsce nikogo, kto chciałby się za tą muzyką (czy również „idea”) ująć. Paraliż był tak głęboki, że nawet w 1980 i 1981 r., kiedy to po oficjalnym zarejestrowaniu „Solidarności” wydawało się, że można już wszystko, albo prawie wszystko — koncerty muzyki punk, anonsowane na płotach i murach za pomocą plakatów wielkości podwójnej kartki z zeszytu — nie posługiwano się słowem „punk”, lecz „pink music”. Dla wtajemniczonych i tak wszystko było jasne, a po co było drażnić pozornie poskromionego partyjnego cenzora i nowo wyrosłego ducha „Solidarności”, który lubił wprawdzie długie wasy u robotników i gęste brody u intelektualistów, ale nie wiadomo, jakby ocenił skóry, agrafki i nietonalne akordy rozstrojonych gitar. Polski punk, czyli wówczas „pink”, co praw-

da jakoś się z wszechogarniającą umysł „Solidarnością” utożsamiał, ale był to związek bardzo problematyczny. Za miernik ówczesnych nastrojów niech posłuży nazwa punk-free-jazzowego zespołu „Strajk '80”.

Ludzi opętanych nareszcie prawdziwą polityką punk jednak nie wzruszał — nawet młodzieży, poza członkami tworzących się wówczas, naprawdę podziemnych, naprawdę całkowicie samotnych zespołów. Przyszedł stan wojenny. Zablokował politykę i związki zawodowe, lecz za to odblokował punk. Ale tylko przy okazji.

Pierwsze miesiące stan wojennego to okres niebywałego rozwoju polskiego rocka. Oddano mu antenę radiową i studia telewizyjne. Listy przebojów, nowe (prywatne) wytwórnie płyt, zalew komercyjnych plakatów rockowych. Teksty przebojów (przeważnie zespołów z gatunku soft-rocka i muzyki pop z elementami rocka), przekazywane na antenach państwowych rozgłośni, nie ukrywają prawdy, mówią o wszystkim, nawet wykrzykują prawdę — ale nie protestują. Grupy punk rockowe (jest ich wówczas coraz więcej) tego nie potrafią, nie dostosowują się do reguł gry, protestują — więc na antenę radiową nie są dopuszczane, choć sporadycznie zdarza się, że w niektórych audycjach przemknie się jeden i drugi tekst... nawet krytyczny, ale dość ogólnikowy... powiedzmy, „ekologiczny” i „antatomowy”.

Niemniej nowa polityka kulturalna Jaruzelskiego (cyniczna, lecz z pozoru najbardziej liberalna w ciągu 42 lat panowania komunizmu w Polsce) nie blokuje muzyki punk zbyt mocno: możliwe są koncerty grup punkowych, odbywają się festiwale, a milicjanci nie gorszą się na widok różowych czy fioletowych „grzebieni” aż tak, jak w latach 60-tych gorszyli się na widok długowłosych hippiesów w polskim wydaniu...

Kiedy latem 1986 r. zaprosiłem mojego przyjaciela z Holandii na festiwal „muzyki alternatywnej” w Sopocie, około 10 % widowni wypełniali umundurowani milicjanci, surowi lecz spokojni. A z estrady rozbrzmiewały teksty, które obrażały przede wszystkim ich, milicjantów. Albo skłaniały do odmawiania służby wojskowej. Albo nawet leciały z estrady na widownię ulotki przeciwko obowiązki służby wojskowej i przysiędze na wierność ZSSR. I nic się nie działo, żadna pałka milicyjna nawet nie drgnęła, jakby tak właśnie miało być.

Warszawa, Toruń, Trójmiasto, w mniejszym stopniu Łódź i Częstochowa — to największe od kilku lat ośrodki muzyki punk, czy — szerzej — „alternatywnej”. Toruń, który obecnie utracił pierwszeństwo na rzecz Trójmiasta i Warszawy, na przełomie lat 70-tych i 80-tych zajmował pozycję najmocniejszą. Tam polska muzyka alternatywna znalazła swoje źródła intelektualne. Podczas gdy młodzi robotnicy w całej Polsce pod wpływem nowo powstałej „Solidarności” prawie zapomnieli o muzyce pop w jakiegokolwiek postaci — zbyt wiele sił i czasu pochłaniała narzucona przez reżym walka o utrzymanie „Solidarności” i utrzymanie choćby minimalnego standardu życia — młodzież studencka czy licealna czuła się sfrustrowana.

Toruń, miasto akademickie o szacownych tradycjach, miał takich licznych, sfrustrowanych studentów, niezłe pomieszczenie klubowe w centrum miasta, o które w dodatku trzeba było walczyć z komercyjną agencją muzyczną (nareszcie jakaś walka!), miał też ambitnych liderów, dobrych menadżerów, na czele z Waldemarem Rudzieckim, do dziś uważanym za jedną z centralnych postaci „sceny alternatywnej”. I tu wkraczamy w zadziwiającą „polską specyfikę”, która wydaje się być zbyt skomplikowana i niezrozumiała dla zachodnich komentatorów, aby zechcieli oni się w nią zagłębiać.

Otu Rudziecki (podobno zamieszany w Toruniu w jakieś machinacje finansowe) przenosi się do Trójmiasta, gdzie zaczyna pracować w Agencji Koncertowej Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, oczywiście znów organizując koncerty grup „alternatywnych”. Praca w PSJ nie trwała długo — mimo niewątpliwych sukcesów organizacyjnych i finansowych Rudziecki wydaje się postacią dziwną, podejrzaną, zaczyna się szepotać o jego współpracy z SB. W odpowiedzi tworzy on samodzielne Młodzieżowe Centrum Kultury w Gdyni, patronujące wyłącznie scenie alternatywnej. Trójmiasto z miesiąca na miesiąc zaczyna zdobywać pierwszoplanową pozycję na mapie polskiego ruchu punk i „alternatywnych”.

Koncerty w klubach studenckich i wynajętych salach gromadzą setki słuchaczy; festiwale, odbywające się z zadziwiającą regularnością (choć nie bez pewnych oporów władz) zdobywają wielotysięczne audytoria. Ktokolwiek zadzwoniłby przed rokiem do MCK, byłby zbulwersowany: natychmiast zorientowałby się, że siedziba tak „zbutowanej” firmy mieści się w budynku Komi-

tetu Miejskiego PZPR! Bezcelność? Kamuflaż? Nieświadomość partyjnych „sponsorów”? Po kilku miesiącach zmiana: dzwoniąc do MCK dowiadujemy się, że telefon łączy centrala... Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. To już brzmi nieco lepiej, co wcale nie znaczy, że dobrze.

Kamuflaż to specjalność „firmy”. Festiwale alternatywnej muzyki, odbywające się w Trójmieście, choć opatrzone kolejnymi numerami, noszą zawsze odrębne nazwy. Mamy więc I Złot Cynicznej Młodzieży Ery Atomowej (7-9 lutego 1986 r.), II Nadmorski Festiwal Wyłącznieści (26-28 sierpnia 1986 r.), III Zjazd Młodych Miłośników Rock and Rolla (6-8 lutego 1987 r.), IV Nowa Krajowa Scena Jazzowa + Rock dla spragnionych... muzyki (26-28 sierpnia 1987 r. — projektowane imprezy w Teatrze Letnim i Operze Leśnej w Sopocie).

Ale Trójmiasto nie ma monopolu na wielkie imprezy muzyki alternatywnej. W kwietniu 1987 r. po raz drugi już klub „Hybrydy” w Warszawie zorganizował festiwal „Marchewka”, na którym wystąpiła cała licząca się „czołówka” muzyków alternatywnych.

Jeśli idzie o teksty utworów gdańskich, warszawskich czy łódzkich czołowych grup alternatywnych, to ani skandalizująca poetyka, ani radykalizmem oskarżeń pod adresem całego społeczeństwa nie odbiegają one od podobnych tekstów zachodnich grup punkowych. Mają jednak i „polską” specyfikę. Aby zrozumieć polską muzykę alternatywnego rocka (zawahałem się, czy tylko rocka? — bo są tu przecież elementy reggae, jazzu free itd.) trzeba zastanowić się, kim są ci, którzy tę alternatywną muzykę tworzą i dlaczego to robią? Kim są członkowie takich zespołów, jak „Konwent A”, „Pancerne Rowery”, „Apteka”, „Bielizna Göringa”, „Moskwa” czy „Sztynny Pal Azji” — w opinii większości najbardziej reprezentatywnych dla polskiej sceny alternatywnej?

Wywodzą się często z tzw. dobrych domów, ich ojcowie to dyrektorzy, funkcjonariusze partyjni, czasem oficerowie i marynarze statków (a to w Polsce oznacza przeważnie wysoki status finansowy), także właściciele warsztatów i sklepów (status finansowy — jak wyżej). Niezależni finansowo, pełni poczucia wyższości (pieniądz daje przewagę nad rówieśnikami), mimo to buntują się przeciwko „władzy pieniądza”. Mają jednak trochę grosza na gitary i wzmacniacze, które nieraz są przedmiotem nieosiągalnych marzeń muzy-

ków profesjonalnych (przypominam — 1 dol. = 950 zł; jeden koncert zawodowego muzyka w Polsce to zaledwie ok. 5 dol.; cena np. gitary basowej, na której można i warto grać — ok. 400 dol.).

Oto Maciej P. — niegdyś założyciel jednej z najlepszych grup alternatywnych Trójmiasta, a nawet Polski — „Konwent A”. Syn partyjnej działaczki, pracującej „w kulturze”. Z grupy Maciej wyleciał trochę za sprawą matki — pozostali nie mieli chyba do niego zaufania; dla nich był za bardzo „czerwony”, choć nikogo tak bardzo nienawidzi, jak właśnie „czerwonych”. Były i kontrowersje artystyczne, poza tym Maciej zaczął dostrzegać, że ruch jest częściowo przynajmniej sterowany, gdzieś w górze pociągają za sznurki. Koledzy nie wierzyli. Teraz Maciej ukrywa się przed milicją — nie z powodu niekonwencjonalnej fryzury czy ćwieków wbitych w „skórę”. Oskarżają go o kradzież na szkodę państwowej firmy. Nie pytam, czy to prawda, ile wziął? On, zdaje się, naprawdę nie lubi „komuny”. Ścigany, jeszcze bardziej podziemny niż podziemie, zgorzkniały i niby-mądry, rzuca mi wyzwanie, którego nikt nie nagra ani nie zaśpiewa. Nuci, wystukując rytm na okuciu beczki, służącej mu za siedzisko:

„To nie jest Ameryka (dziękuję za wiadomość, panie Bowie)

To nie jest nawet ZSSR, to jest Polska

To jest kraina dolara, złota i kantów

(choć wyprodukowała pierwszy w świecie dom bez kantów)

To jest chyba sen mój i towarzysza milicjanta

Ścigającego pijaka za kierownicą (cena 50 tysięcy)

Nie udało się próba poezji nocą, wypijmy do dna Gorbaczowa

I znowu mina

Pewnie jutro mnie złapią

Ale póki co pijmy piwo

Które nawarzyli nasi nieznani ojcowie”

(Maciej jest dzieckiem z rozbitego małżeństwa, jak ok. 20 % członków grup alternatywnych — przyp. SD.).

Oczywiście, taka rozmowa, taki życiorys, taki stereotyp — to tylko część problemu.

Programowe odrzucenie władzy pieniądza, wojska, partii, autorytetów, Kościoła — obecne w

Podziemna Poczta Polska – 1944

Odkrycie, o którym za chwilę opowiem, jest do tego stopnia sensacyjne, że może wywołać niedowierzanie u bardziej sceptycznych czytelników. Historia ta jest jednak absolutnie prawdziwa i mam nadzieję, że wzbudzi zainteresowanie nie tylko wśród filatelistów. Żeby przejść od razu do faktów musimy cofnąć się w czasie do roku 1941, kiedy to Rząd Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie wydał znaną serię znaczków Polskiej Poczty na emigracji, składającą się z ośmiu wartości. Dalsze serie znaczków emigracyjnych ukazywały się potem w roku 1943 i 1944. Znaczkami tymi były frankowane przesyłki przewożone przez statki i okręty floty polskiej podczas II wojny światowej. Po wojnie zostały one uznane za wydania oficjalne i uwzględniono je we wszystkich poważnych katalogach filatelistycznych, nie tylko krajowych, ale np. u Michela

czy Gibbonsa. Część tych emigracyjnych znaczków przedostała się też do okupowanej Polski i prawdopodobnie musiała zainspirować kierownictwo walki podziemnej do uruchomienia w kraju Polskiej Poczty Podziemnej. Są to oczywiście przypuszczenia, ale oparte na faktach, które tu za chwilę podam.

W sierpniu 1944 r. wybuchła Powstanie Warszawskie. Po bohaterskiej obronie pada Starówka, z której powstańcom udaje się przedostać do innych dzielnic miasta, gdzie walka trwa nadal. Do opuszczonych domów i piwnic Starego Miasta wdzierają się oddziały hitlerowskie i w jednej z

kryjówek natrafiają na powstańczą drukarnię, gdzie oprócz ulotek i wydawnictw podziemnych znajdują arkusze znaczków Polskiej Poczty Podziemnej, których wydawcy nie zdążyli już rozprowadzić. Zanim drukarnia wraz ze wszystkim co się tam znajdowało została spalona przez plądrujących hitlerowców, jednemu z oficerów udaje się część nakładu – ok. 400 serii – wynieść ze staromiejskiej piwnicy.

W roku 1961, w poważnym zachodniemieckim czasopiśmie filatelistycznym *Deutsche Zeitung für Briefmarkenkunde* z datą 20 marca ukazuje się artykuł Hansa Seefeldnera z Salzburga w Austrii, byłego oficera Wehrmachtu, który, jak się okazało, uratował znaczki. Opisał on poszczególne egzemplarze serii wydanej przez Podziemną Poczta Polską, a także okoliczności jej znalezienia.



czarno-biały



stalowo-niełonkawy



czerwono-brunatny



niebieski

W rok później, 8 kwietnia 1962 roku, w piśmie wiedeńskim *Neues Österreich* ukazał się artykuł, którego autor opisując różne formy oporu i walki w okupowanej przez hitlerowskie Niemcy Polsce, poświęcił sporo miejsca historii znalezionych w piwnicach Starego Miasta w Warszawie znaczków. Żadna z tych dwóch informacji nie została zauważona przez polskich filatelistów.

Upłynęło następne 25 lat. W kwietniu br., w Centrum Kultury Gasteig w Monachium została otwarta wystawa polskich wydawnictw podziemnych pod hasłem „Prawo do wolnego słowa”. Sporą część ekspozycji zajmowały też znaczki

Podziemnej Poczty „Solidarności”. Specjalnie ten właśnie dział wystawy zainteresował pewną starszą panią, która zaczęła dociekać, kto jest właścicielem owej kolekcji. W rezultacie pewnego dnia odebrałem od niej telefon. Po przedstawieniu się opowiedziała mi, że kilkanaście lat temu odziedziczyła w spadku po swoim wuju pewną ilość znaczków i że wśród nich znajdują się egzemplarze Podziemnej Poczty Polskiej z okresu okupacji, które być może mogłyby mnie zainteresować.

Odpowiedziałem, że interesują mnie i to bardzo. Zostałem więc zaproszony do obejrzenia tego zbioru. To, co zobaczyłem, zaparło mi dosłownie dech w piersiach. Było tam ok. 100 serii, częściowo w arkuszach oraz dokumentacja w postaci artykułów, o których wyżej pisałem. Znaczki Podziemnej Poczty Polskiej zostały bardzo starannie przechowane i nawet pobieżne zbadanie wskazuje na ich absolutną autentyczność. Dzięki temu nadzwyczajnemu zbiegowi okoliczności i dobrej woli spadkobierczyni oficera-filatelisty mogą dziś podać do publicznej wiadomości fakt godny uwagi nie tylko dla zainteresowanych tym bezpośrednio filatelistów, ale też ważny dla historii tej formy walki o niepodległość narodu polskiego.

Pięć spośród 9 wchodzących w skład serii znaczków posiada motywy graficzne ściśle odpowiadające egzemplarzom wydanych przez Emigracyjny Rząd Polski w Londynie, wykonanych jednak w zmniejszonym formacie i różniące się kolorem, stąd też moje przypuszczenie wyrażone na samym początku, że część tej emigracyjnej serii musiała trafić podczas wojny do kraju. Pozostałe cztery znaczki to własne projekty graficzne, a więc znaczek wartości nominalnej 25 groszy, wykonany w kolorze czarnym z rysunkiem czterech okładek podziemnych czasopism okupacyjnych: *Młody Nur*, *Wiadomości Codzienne*, *Miecz i Pług* i *Wieści*, u góry znaczka napis: Polska Prasa Podziemna, na dole Podziemna Poczta Polska. Następny znaczek wartości 30 groszy, w stalowo-zielonkawym kolorze, pod napisem Prasa Podziemna Przy Pracy, zawiera graficzny rysunek

urządzeń drukarskich i sylwetkę drukarza. Znaczek wartości 2 zł to wykonany brązowym drukiem portret Naczelnego Wodza, generała Władysława Sikorskiego, z takim właśnie napisem u góry znaczka. Wreszcie czwarty egzemplarz o nominalnie 5 zł z napisem: O To Walczymy – graficznie przedstawione marzenia o powojennej, mocarstwowej Polsce, czyli mapa Europy i Afryki z zaznaczonymi na niej konturami rozszerzonych o Prusy Wschodnie i Ziemie Zachodnie granic Polski z dołączonymi do niej byłymi afrykańskimi koloniami niemieckimi i Madagaskarem...

Dalszych 5 wartości, to motywy z londyńskiej serii o zmniejszonym rysunku, a więc Polska Marynarka Wojenna w Wielkiej Brytanii (50 groszy), w kolorze niebieskim, w przeciwieństwie do brązowego oryginału londyńskiego, znaczek wartości 55 groszy, w kolorze czerwonym przedstawiający Plac Zamkowy w Warszawie, w odróżnieniu od niebieskiego z Londynu. Nominał 75 groszowy pod napisem Wojsko Polskie w Wielkiej Brytanii zawiera rysunek identyczny z rysunkiem na znaczku londyńskim, lecz wykonano go w kolorze szmaragdowym zamiast sepii.

Znaczek za 80 groszy, w kolorze zielonym zamiast ciemnokarminowego, ma znów ten sam rysunek czołgu pod napisem Polska Broń Pancerna w Wielkiej Brytanii i wreszcie egzemplarz pod hasłem Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii, który posiada kolor amarantowy zamiast ciemnoniebieskiego.

Znaczki Podziemnej Poczty Polskiej znaleziono w piwnicach Starówki drukowane były w arkuszach o niejednakowej ilości egzemplarzy w każdym z nich. A więc wartość 25 groszy – 35 sztuk w arkuszu, 30 groszy – 36 znaczków, 50 groszy – 42, 55 groszy – 40, 75 groszy – 32, 80 groszy – 36, 1 złoty – 32, 2 złote – 32 i 5 złotych – 36 znaczków w każdym arkuszu.



sielony



ciemno-sielony



fiolotony



brązowy



ciemno- różowy

„Potrzebuję »cortison«. Zapłacę każdą cenę”

Ponieważ w Polsce panuje olbrzymi brak lekarstw, ludzie usiłują dotrzeć do nich poprzez drobne ogłoszenia, czarny rynek lub Kościół. Konferencja Episkopatu Polski kieruje poprzez *Stern* apel o pomoc do obywateli zachodni Niemiec.

Sprzątaczką Grażyna F. żyje w ciągłym zagrożeniu. Od 10 lat pracuje w szpitalu ogólnym przy ulicy Czerniakowskiej w Warszawie. Ciemnobrązowa zupa w jej wiadrze jest niebezpiecznym źródłem infekcji, gdyż Grażyna wyciera i szoruje bez środków dezynfekcyjnych. „Obecnie nie ma ich” — mówi i wyżyma swój gałgan. Tak roznosi bakterie z jednego pokoju szpitalnego do następnego.

Grażyna F. jest jedną z ostatnich sprzątaczek w szpitalu, która nie złożyła wymówienia. „Wiele od nas odeszło. Po prostu bały się zakażenia — opowiada — i to przy uposażeniu 12 tys. zł miesięcznie (ok. 100 DM). Znalazły sobie coś innego.”

Dyrektor szpitala, dr Stanisław Sikorski, jest cichym mężczyzną, po którym widać zmartwienie. „Wie Pan, stan higieniczny jest okropny. Mamy dobrych lekarzy i doskonale pielęgniarki. Brakuje jednak podstawowych materiałów medycz-

nych — lekarstw, strzykawek jednorazowego użytku, urządzeń. To jest katastrofa.”

Do pokoju lekarza naczelnego przychodzi na herbatę chirurg i kierowniczka szpitalnej apteki. „Potrzebuję atropiny. Jak najszybciej” — mówi chirurg zacierając dłonie i nie jest w stanie pojąć, że również dziś rano nie nadszedł zamówiony środek rozkurczowy potrzebny przy operacjach. Ponadto brakuje mu cienkich nici operacyjnych.

Także anestezjodolodzy uderzyli na alarm: mają tylko trzy ampułki pavalanu do narkozy. Poważne operacje trzeba przesunąć. Dałoby się ich wykonać i tak bardzo niewiele. „Nasz zapas rękawic operacyjnych jest na wyczerpaniu” — mówi lekarz.

Na chirurgii w 4-osobowym pokoju leży kolejarz Marian M. Musi się poddać amputacji lewej nogi. W normalnych warunkach nie byłoby to konieczne, wystarczyłaby centymetrowej długości proteza naczyniowa i schorzenie zostałoby zlikwidowane. Lecz

protezy nie ma. Jeśli Marian będzie miał pecha, dodatkowo złapie jeszcze zakażenie.

Według danych Światowej Organizacji Zdrowia spośród szpitali europejskich właśnie w Polsce istnieje najwyższe niebezpieczeństwo infek-



Kostnica szpitalna: „Pacjent nazywa się Polska”.

cji. 35 % polskich pacjentów w trakcie pobytu w szpitalach dodatkowo zostaje zakażonych żółtaczką, dyzenterią czy ciężką biegunką.

Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. „Pacjent nazywa się Polska” — tego zdania jest pisarz-opozycjonista Tadeusz Konwicki i kontynuuje: „Czesi żyją znośnie, ludzie w NRD nieźle, Węgrzy są prawie zamożni — a Polacy na samym dnie.” To rozpaczliwe położenie uzasadnia on także nieugiętym oporem swych rodaków przeciwko systemowi, który przez większość nie jest akceptowany. „Być może — stawia diagnozę — organizm społeczny osiągnął krytyczną granicę i nie jest w stanie znieść dalszych obciążeń zniewolenia.”



„Poważnych operacji można wykonać i tak bardzo niewiele”.

1 maja rząd Jaruzelskiego ogłosił wprowadzenie „drugiej fazy reform”. Ma ona przynieść także poprawę w lecznictwie. Nawet w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej przyznaje się, iż sytuacja w szpitalach i aptekach jest bardzo zła.

Napięta sytuacja dewizowa kraju — zadłużenie zagraniczne wynosi obecnie 35 mld dolarów — oraz absolutnie przestarzały przemysł farmaceutyczny spowodowały kryzys. Na razie prowadzi się rozmowy z niemieckimi i francuskimi

firmami na temat utworzenia przedsiębiorstw mieszanych dla produkcji lekarstw. Słaba to pociecha dla tych, którzy już teraz chorują i potrzebują pomocy.

Dla wielu osób ostatnią deską ratunku jest Kościół. W aptekach państwowych ważnych lekarstw prawie nie ma — ani antybiotyków, ani środków nasercowych, ani przeciwreumatycznych. Dlatego też Kościół prawie we wszystkich większych miastach urządził z własnej inicjatywy małe apteki, gdzie na receptę i pod nadzorem farmaceutów bezpłatnie rozdaje się pochodzące z darów z Zachodu lekarstwa.

Już o 8 rano, na godzinę przed otwarciem apteki w kościele Bonifratrów na warszawskiej

Starówce tworzy się długa kolejka. Wiele osób — w tym również księża — wyruszyli o świcie z małych podwarszawskich wsi, aby zrealizować recepty. Lecz i oni często przeżywają rozczarowanie. „Otrzymujemy o wiele mniej darów niż przed kilku laty. Obecnie możemy zrealizować tylko ok. 50 % wszystkich życzeń” — mówi ksiądz i wzrusza ramionami.

Ludziom stojącym w kolejce jest przykro, że robimy zdjęcia. Jeden z mężczyzn jest wściekły. „Sfotografujcie lepiej tabliczkę pamiątkową na

głównym portalu." Opuszcza kolejkę i klinąc znika w bocznej uliczce. Napis na tablicy informuje: Tutaj w kościele Bonifratrów w czasie Powstania Warszawskiego znajdował się szpital polowy. 30 sierpnia 1944 roku SS wymordowało 300 pielęgniarek, lekarzy i pacjentów.

Biskup pomocniczy Czesław Domin z Katowic jest odpowiedzialny za wszystkie apteki kościelne i dary z Zachodu. Wcisną mi do ręki apel Konferencji Episkopatu Polski. „Wydrukujcie to w *Sternie*” — prosi. W odezwie podkreśla się, że w ostatnich latach właśnie z RFN nadchodziły liczne dary. „Dziękujemy za to najgoręcej. Jednak sytuacja w lecznictwie w ciągu ubiegłych lat nie poprawiła się, wprost przeciwnie, uległa dramatycznemu pogorszeniu.” Biskup Domin mówi do reportera *Sterna*: „Polacy byłiby bardzo wdzięczni za dalsze dary w postaci lekarstw.” *

Na przedmieściu Warszawy, w cichym Międzylesiu leży wzorcowy szpital, klinika pediatryczna „Pomnik” (Centrum Zdrowia Dziecka — przyp. red.). Szpital z 2 tys. łóżek został zbudowany w 1978 r. — z pomocą ONZ i na pamięć 15 mln dzieci, które straciły życie w czasie II wojny światowej. Najlepsi krajowi lekarze w pięknych i jasnych pokojach opiekują się najcięższymi przypadkami z całej Polski: wady serca, przeszczepy nerek, choroby płuc.

Również tu panuje strach i niepewność jutra. „Boimy się, że ze względu na zaopatrzenie w lekarstwa i sprzęt medyczny nie będziemy mogli utrzymać naszego poziomu” — mówi prof. Maria Goncerzewicz, która kieruje kliniką. W aptece klinicznej farmaceutka pokazuje nam tuzin opakowań z antybiotykami o szerokim spektrum działania i mówi: „To są moje ostatnie zapasy. A na górze leży 2 tys. chorych dzieci.”

Wiele osób pisze z rozpaczy małe karteczki ogłoszenia ze swoim numerem telefonu i przykleja je na ścianach domów lub na przystankach komunikacji miejskiej. „Szukam pilnie adalat (środek nasercowy)”, lub „Potrzebuję pilnie dla mojego chorego dziecka cortison. Zapłacę każdą cenę.”

Handlarze i przemytnicy zbijają z tego kapitał. Dotychczas handlowali narkotykami, rosyjskim kawiozem i kasetami wideo. Teraz rozszerzyli swój asortyment o lekarstwa, które sprzedają po horendalnych cenach. Na warszawskim bazarze Różyckiego milicja przyłapała już na gorącym

uczynku pierwszych handlarzy zajmujących się sprzedażą lekarstw.

* — Datki pieniężne można kierować: **Deutsches Medikamenten-Hilfswerk „Action Medeor”, 4154 Tönisvorst/Krefeld, Postcheckkonto Köln 111 07-506, hasło „Polenhilfe”**

(Za: *Stern*, nr 21/14. 05. 1987)

Tłum. A. Knuff

Dokończenie ze str. 35

tekstach „alternatywnych” — pryska jak mydlana bańka, gdy pojawi się cień Sukcesu. Za Wszelką Cenę. Młodzieżowe Centrum Kultury w Gdyni organizuje wyjazd do Berlina Zachodniego dwóm grupom punkowym. I oto ci kopiacy komunę, kapitał i milicję chłopcy zaczynają podkopywać wzajemnie swoje pozycje — nie wyłączając donosów — aby zaistnieć „gdzieś na Zachodzie”, na dwie godziny, za 200 DM na głowę.

Drugi „typ” polskiego punka-muzyka, to prawdziwy proletariusz, utalentowany, znający życie jakby lepiej — uczniowie „zawodówek”, różni „nawiedzeni”; ich znam od lat co najmniej piętnastu, gdy jeszcze jako hippiesi odwiedzali Festiwałe Awangardy Beatowej w Kaliszu czy okupowali schody Pałacu Kultury w Warszawie w czasie „Jazz Jamboree”.

Trzeci rzut — tych najmniej, ale liczą się — sfrustrowani studenci. Albo ojcowie rodzin: 21 lat, żona, dziecko, mieszkanie 26 m² z teściami, jeden pokój, wspólna kuchnia, pensja 21 200, a drink w hotelu „Forum” kosztuje 800 zł. Nie iść do „Forum” — OK! — więc wściekle wał w struny i sperma na wszystko! Reszta jest głośnym milczeniem.

Poprawki do tłumaczonego w „Poglądzie” nr 5/126 tekstu z języka niemieckiego: „Rekiny Bałtyku” — naprawdę „Los Piranhas del Baltico”; „Majtki Göringa” — naprawdę „Bielizna Göringa” — obecnie występują jako „Bielizna”, bo szef MCK w Gdyni nie pozwolił...; „Martwa połędwica” — naprawdę „Formacja Martwych Schabów” (pisana czasem jako „Formacja Martfih Shabuf”).

Jeszcze o nazewnictwie — w Polskim Radio zaanonsowano powstanie grupy punkowej „Trybuna Brudu”. Są już nagrania! ■

Zachwiana pozycja gospodarcza sowieckiego mocarstwa

Wysiłki modernizacyjne Gorbaczowa pod naciskiem czasu

Szef partii Gorbaczow prowadzi wyścig z czasem: chce dokonać modernizacji ZSSR, który za czasów jego poprzedników zarówno technicznie, jak i gospodarczo wyraźnie pozostał w tyle wobec Zachodu. Nie głosi on wcześniejszych haseł Chruszczowa czy Kosygina, marzących o dogonieniu i prześcignięciu Stanów Zjednoczonych. Tymczasem bowiem okazało się, że to Japonia znajduje się na drodze do osiągnięcia w roku 2000 poziomu produkcji narodowej brutto „czernego mocarstwa”.

Sowieci zmuszeni są obecnie do wypracowania nowego modelu gospodarczego, gdyż stary stracił za granicą na atrakcyjności i można go wprowadzać tylko tam, gdzie znajdują się sowieccy żołnierze, jak np. w Afganistanie.

Światowa ekspansja Rosjan od Etiopii po Kubę doprowadziła do recesji gospodarczej imperium. Rzecz jasna nie można mówić o gospodarczym upadku. Podróżując po ZSSR można zauważyć, że kraj ten nie rozporządza prawie w żadnej dziedzinie atrakcyjnymi towarami. Dobra konsumpcyjne oferowane na tutejszym rynku pozostają jakościowo w tyle za towarami pochodzącymi z rozwiniętych krajów satelickich (NRD lub Węgry). Także przemysł maszynowy jest przestarzały i jego udział w eksporcie na Zachód wynosi zaledwie 5%, podczas gdy energia i surowce stanowią ponad 3/4 eksportowanych dóbr. Tylko kraje rozwijające się posiadają taką strukturę eksportu.

Na poziomie krajów rozwijających się

W istocie rzeczy wiele branż sowieckiej gospodarki narodowej przypomina kraje Trzeciego Świata. Na rynkach światowych ZSSR został

Świata. Na rynkach światowych ZSSR został prześcignięty przez kraje azjatyckie stojące u progu etapu postindustrialnego, gdyż dostarczają one wiele produktów o wysokiej technologii, których Sowieci w ogóle nie mają do zaoferowania. Spadek cen energii i surowców, jak i kursu dolara, spowodował znaczne obniżenie sowieckich wpływów dewizowych. W takiej sytuacji trzeba by oferować wyroby gotowe. Ilość ich jest jednak niewystarczająca, a jakość zła, tak więc utrata dewiz nie może zostać wyrównana poprzez zwiększenie wywozu wyrobów gotowych.

Na Zachodzie nikt nie kupuje sowieckich komputerów. Trochę lepiej wiedzie się temu krajowi z samochodem osobowym Łada: jest on produkowany w fabryce, którą zbudował koncern Fiata, a najnowsze jego modele zaprojektowała zachodnoniemiecka firma Porsche, aby mogły one w ogóle konkurować na rynkach zagranicznych. Sowieckie samoloty można sprzedawać tylko w krajach satelickich, gdyż są przestarzałe, za głośnie, i mimo że wytrzymałe, to jednak zużywają zbyt dużo paliwa. Katastrofa w Czernobylu jeszcze raz wykazała, jak zacofana jest sowiecka technika w dziedzinie budowy elektrowni atomowych. Sektor usług, zgodnie z doktryną marksizmu-leninizmu uznany jako nieprodukcyjny, jest niedorozwinięty, skutkiem czego za mało jest jadłodziwni, restauracji i zakładów naprawczych.

Obie gałęzie prestiżowe — przemysł zbrojeniowy i kosmiczny tylko dlatego utrzymują się na tak wysokim poziomie, gdyż centralnie planowana gospodarka kieruje tutaj znaczne środki materialne i osobowe, których potem brakuje w innych dziedzinach. Coraz bardziej odczuwalne jest również obciążenie związane z utrzymaniem sowieckiego imperium. I tak np. amerykański instytut Rand Corporation twierdzi, iż aż 7% dochodu narodowego brutto musi być wydatkowane na ten cel — wliczając w to szpiegostwo i propagandę.

Zmiana bazy i struktury

Kraj o tak słabej strukturze gospodarczej nie jest w stanie funkcjonować na dłuższą metę. Dlatego wzmocnieniu musi ulec jego baza gospodarcza. Gorbaczow chce również zmienić strukturę gospodarki, gdyż dział materiałów podstawowych jest rozbudowany nadmiernie, natomiast zbyt szczupły jest dział wysoko rozwiniętych technologii. W zeszłym roku produkcja stali wyniosła w ZSSR 160 mln ton, gdy tymczasem USA wyprodukowały tylko 73,8 mln ton. Któż jeszcze potrzebuje dziś stali?

Choć ZSSR nie rozporządza dotąd zwartą koncepcją reform, Gorbaczow podjął już pewne działania, aby szybko dokonać zmian strukturalnych i wprowadzić w życie nowoczesny, atrakcyjny model gospodarki. Nadal kontynuuje on rozpoczętą przez jego poprzednika kampanię antykorupcyjną, antyalkoholową oraz kampanię na rzecz wzmocnienia dyscypliny pracy. Dzięki niej chce przezwyciężyć rozprężenie społeczeństwa.

Jugosłowiański dysydent Milovan Djilas jest jednak zdania, iż „administracyjne, dyscyplinarne i stymulacyjne inicjatywy Gorbaczowa mogą przynieść tylko przejściową poprawę. Prawdziwe, systemowe zmiany, nadejdą dopiero po reformie administracyjnej, przy przejściu do gospodarki rynkowej i do skuteczniejszego stosowania nowoczesnych technologii.”

„Radykalne reformy gospodarcze”

Gorbaczow mówi już obecnie o „radykalnych reformach gospodarczych”. Dzięki nim ma zostać zmodernizowany model centralnego planowania, pochodzący jeszcze z okresu wielkiego sowieckiego dyktatora Josifa Stalina. Nawet pojęcie „gospodarka rynkowa” nie jest dziś w ZSSR zakazane. Dotychczas było ono stosowane tylko na Węgrzech. Ponieważ Rosjanie wiedzą, iż jedynie poprzez otwarcie się na Zachód — choćby bardzo ostrożnie — można dołączyć do „światowego poziomu”, zmieniono obowiązujący od 1918 r. przepis, iż handel zagraniczny jest wyłączną domeną Ministerstwa Handlu Zagranicznego i sędowano pełnomocnictwa w handlu z zagranicą na kilka innych ministerstw, zakładów i organizacji gospodarczych.

Równocześnie zezwolono na zakładanie przedsiębiorstw mieszanych (joint ventures). Do-

łączono w ten sposób do innych krajów wschodnioeuropejskich, które od dawna, za wyjątkiem NRD, są w tej dziedzinie aktywne. Sowietci mają nadzieję, iż poprzez joint ventures z kapitalistami, którym wolno obecnie osiągać zyski w ZSSR, będą mieli możliwość importowania z Zachodu najnowocześniejszej techniki. Dzięki temu powinna ulec przyspieszeniu zmiana struktur wewnątrz kraju, powinny również wzrosnąć szanse eksportu gotowych produktów z przedsiębiorstw mieszanych. Równie wyraźną zmianę ideologiczną jak w wypadku joint ventures oznacza legalizacja sektora prywatnego, która nastąpi 1. 05. 1987. Obydwa pociągnięcia przypominają NEP, który był dziełem twórcy sowieckiego państwa Władimira Lenina, później musiał jednak ustąpić rygorystycznemu planowaniu centralnemu Stalina.

Większy jednak nacisk niż na rozwój sektora prywatnego kładzie się na rozwój spółdzielczości w formie małych przedsiębiorstw rzemieślniczych czy usługowych (np. w handlu, hotelarstwie i zakładach naprawczych). Jest ona mimo wszystko wygodniejsza z punktu widzenia ideologii.

Jakość zamiast ilości

Aby podnieść stale krytykowaną przez Gorbaczowa jakość sowieckich produktów, do państwowych zakładów wprowadzono kontrolerów jakości, którzy są niezależni od organów centralnych.

Projekt ustawy o przedsiębiorstwach przewiduje większą niezależność kierownictwa, ale także większą jego odpowiedzialność. Każda firma będzie całkowicie odpowiedzialna zarówno za zyski, jak i za straty. Centralne planowanie ma się ograniczyć do wypracowywania koncepcji strategicznej. Podobnie jak na Węgrzech, w ramach samorządów, załogi sowieckich przedsiębiorstw będą mogły wybierać dyrektorów i kierownictwo, co oznaczałoby demokratyzację dotychczas skostniałych struktur.

Równocześnie kontynuuje się nową politykę kadrową. Wciąż przeprowadza się polityczne i gospodarcze przetasowania personalne. Mało zdolni partyjniacy zastępowani są bardziej dynamicznymi ludźmi. Styczniowe posiedzenie KC wykażowało jednak, że owa „fala demokratyzacji” natrafia na wiele przeszkód. Nie jest to nic nowego. Również Nikita Chruszczow zapowiadał i przeprowadzał radykalne reformy, lecz biurokraci po-

zbawili go władzy, gdyż jego posunięcia były dla nich zbyt „rewolucyjne”.

Gorbaczow musi więc działać bardzo ostrożnie. Wprawdzie udało mu się, w porównaniu z rokiem ubiegłym, ożywić gospodarkę, co może uznać za rezultat swoich reform, zarazem jednak niezupełnie zgodne jest to z prawdą. Jak wiadomo, nie tylko zwiększenie inwestycji powoduje odpowiednio bardziej dynamiczny przyrost gospodarczy, lecz również fakt, iż „nowa miotła zamiata lepiej”.

Państwa satelickie na muszce

W swojej polityce modernizacji Gorbaczow bardziej liczy na „młodszych braci” w Europie Wschodniej. Podpisali oni przecież w grudniu 1985 r. „kompleksowy program naukowo-technicznego postępu państw RWPG do roku 2000”. Program obejmuje pięć dziedzin: elektronizację, kompleksową automatyzację, energię atomową, nowe tworzywa i technologię biologiczną. W sumie chodzi o rozwiązanie 93 ważnych problemów. Każdy z nich dzieli się w szeregu tematów na zadania. Ciągłe zawiera się kompleksowe umowy od projektowania, poprzez produkcję, po zbyt nowych towarów. Sowietci grają tu jednak pierwsze skrzypce, natomiast małe państwa wschodnioeuropejskie muszą się podporządkować poleceniom „wielkiego brata”.

Stworzono dwa typy organizacji kierowniczych: koordynacyjne, dla prac badawczych nad rozwiązaniem problemów i wykonawcze, odpowiedzialne za realizację konkretnych prac. Do zadań tych pierwszych należy wypracowywanie naukowo-technicznych podstaw problematyki z ustaleniem konkretnych wyników końcowych i terminów. Ich dalszym zadaniem jest przedstawienie rozmiaru kosztów i kolejności ich finansowania. Organizacje koordynacyjne ponoszą odpowiedzialność za poziom techniczny i za jakość wypracowywanych planów oraz za dotrzymanie terminów.

We wszystkich 93 zakresach problemowych kompleksowego programu kierowniczą rolę pełnią organizacje sowieckie. Ponadto istnieją bezpośrednio powiązania pomiędzy zakładami czy organizacjami biorącymi udział w tym programie — bez udziału państwowych organizacji handlowych. Sekretarz RWPG Syczow podkreśla, iż rozszerzenie bezpośrednich kontaktów pomiędzy

zakładami nie oznacza zniesienia centralnego kierowania handlem zagranicznym.

Aby przyspieszyć realizację kompleksowego programu Moskwa wywiera ponadto naciski na tworzenie joint ventures z pozostałymi krajami Bloku Wschodniego. Wg Syczowa kompleksowy program ma dać 10 krajom członkowskim możliwość wejścia w XXI wiek z nową jakościowo produkcją. Dzisiaj można jedynie spekulować, czy Sowietom rzeczywiście uda się ulepszyć technikę i zwiększyć wydajność gospodarki. Rosjanie dążą do osiągnięcia światowego poziomu swoich produktów; pod tym pojęciem należy rozumieć standard zachodni.

Ameryka jako widmo

Były szef partii i państwa Nikita Chruszczow miał o wiele większe wymagania. Na początku 1959 r. na XII zjeździe partii z okazji prezentacji nowego planu 7-letniego (1959-1965) oświadczył, iż jego kraj do roku 1965 osiągnie rozmiar produkcji przemysłowej USA. Natomiast do 1970 r. miało osiągnąć poziom tej produkcji na głowę jednego mieszkańca. To, jak sądził Chruszczow, „historyczne zwycięstwo socjalizmu nad kapitalizmem w pokojowym współzawodnictwie” nie zostało jednak osiągnięte.

Niezrażony tym sowiecki premier Aleksiej Kosygin powtórzył 24. 10. 1971 przed Radą Najwyższą ZSSR sformułowanie o dogonieniu i prześcignięciu Amerykanów: „Całość przemysłowej i rolniczej produkcji Związku Sowieckiego będzie w 1975 r. przewyższać obecny poziom przemysłowej i rolniczej produkcji Stanów Zjednoczonych. Jest to, towarzysze, miłowy kamień w ekonomicznym współzawodnictwie pomiędzy ZSSR a krajami kapitalistycznymi.”

ZSSR, pomijając produkcję niektórych materiałów podstawowych, nawet w przybliżeniu nie doścignął USA do dziś. Potwierdzają to również oficjalne dane statystyczne pochodzące z Moskwy, oceniane na Zachodzie jako zbyt optymistyczne. Sowietci podkreślają w swoich danych, iż w 1985 r. zwiększyła się nieco przewaga Amerykanów w dochodzie narodowym (por. tab. 1). Ponieważ ZSSR liczy 280 mln mieszkańców, natomiast USA tylko 238 mln, sowiecki produkt globalny brutto na głowę mieszkańca osiąga zaledwie 50% jego amerykańskiego poziomu. Wskutek tego obciążenie Sowietów wydatkami zbroje-

Tabela 1.

Ważne wskaźniki gospodarcze ZSSR i USA	
	ZSSR w % (USA = 100%)
Dochód narodowy	
1960	58
1970	więcej niż 65
1980	67
1985	66
Produkcja przemysłowa	
1960	55
1970	więcej niż 75
1980	więcej niż 80
1985	więcej niż 80
Produkcja rolna (średnia roczna)	
1956-1960	więcej niż 70
1971-1975	średnio 85
1976-1980	średnio 85
1981-1984	średnio 85

Źródło: ZSSR w liczbach 1985, Moskwa (w jęz. ros.)

wymi jest o wiele poważniejsze niż u Amerykanów, gdyż dąży się do parytetu, który — teoretycznie — wymaga mniej więcej tych samych wydatków. Tak więc Amerykanie muszą wydawać na zbrojenia ok. 6% dochodu narodowego brutto, natomiast Sowieci, jak podają zachodnie dane szacunkowe, co najmniej 12%. Gorbaczow jest więc zainteresowany w zmniejszeniu tego obciążenia poprzez układ z USA o ograniczeniu zbrojeń, po to, aby zaoszczędzone pieniądze przeznaczyć na unowocześnienie gospodarki. ZSSR nie chce rzecz jasna jednostronnie obniżyć wydatków na zbrojenia, tak jak uczyniły to Chiny.

Nasuwa się łatwo przypuszczenie, iż Waszyngton chce „zazbroić na śmierć” Sowieców,

gdź doskonale zdaje sobie sprawę z olbrzymiego obciążenia ZSSR. Moskwa nie chce się jednak dać na to nabrać, gdyż absolutnie nie może temu podoleć, osłania więc swoją „politykę pokojową” różnymi posunięciami demokratyzacyjnymi i nastawionymi propagandowo zwolnieniami więźniów politycznych. Ta nowa taktyka może przysporzyć Amerykanom kłopotów, jako że podnieśli oni znacznie wydatki na zbrojenia. Natomiast Rosjanie obniżyli wzrost nakładów na ten cel do poziomu zerowego, aby w ten sposób wygospodarować środki na modernizację gospodarki. Moskiewskie kierownictwo wojskowe tak czy owak jest zainteresowane w wydzwignięciu gospodarki, żywiąc przez to nadzieję na jeszcze lepszą broń i zwiększenie puli wydatków zbrojeniowych.

„Żółte niebezpieczeństwo”

Gorbaczow musi dokonać jakichś posunięć. Ledwie skończył się sen o dośnięciu i prześcignięciu USA, a już grozi nowe, „żółte niebezpieczeństwo”. „Mały sąsiad”, Japonia postawiła sobie mianowicie za cel osiągnięcie do roku 2000 wielkości sowieckiego dochodu narodowego brutto. (por. tab. 2).

Jeśli dzięki zapowiedzianym „radykalnym reformom” ZSSR nie uda się wydatnie zwiększyć technicznej i gospodarczej wydajności, wówczas straci ona nimb supermocarstwa i nie będzie chyba w stanie finansować olbrzymich wydatków na zbrojenia i utrzymanie imperium. Tak jak kiedyś Wielka Brytania i Francja, przypuszczalnie również ZSSR nie może sobie pozwolić w nieskończoność na dalszą zewnętrzną ekspansję i wewnętrzną recesję.

Tabela 2.

Dokończenie na str. 50

Udział wybranych państw i regionów w światowym produkcie narodowym (1960 — 2000, w %, brutto)			
	1960	1980	2000
Japonia	3	10	12
USA	33	22	20
Państwa należące do OECD*	26	31	26
Kraje uprzemysłowione	62	63	58
Kraje rozwijające się	14	15	20
ZSSR	15	13	12
Europa Wschodnia	4	5	5
Chiny	5	4	5
Kraje komunistyczne	24	22	22

Źródło: Economic Planning Agency, Japonia

* OECD — Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju

Majowy Kreuzberg po polsku czyli sapienti sat!

Kiedy wychodziliśmy z przedstawienia Teatru Ósmego Dnia na murze przeciwnego centrum młodzieżowego bielił się wywieszony z okien, wymalowany na płótnie niemiecki napis „Polskie Dni Kultury w Kreuzbergu”, właśnie przejeżdżał patrolujący ulicę policyjny samochód, za rogiem stał drugi i ktoś zazartował — pilnują Polaków. Opodał czerniał napis nawiązujący bynajmniej nie afirmatywnie do jubileuszu miasta „750 lat wystarczy”, kawałek dalej gęsto rozlepiono tureckie ulotki ze znajomymi głowami trzech zbawców świata Engelsa, Marksa i Lenina — był 6 maja 1987 w sympatycznej, zwariowanej i od kilku lat zbuntowanej dzielnicy Kreuzberg.

Tuż po spektaklu zagadał mnie polujący na wypowiedzi widzów radiowy reporter z SFB. Dlaczego tu przyszedłem — zapytał, a potem — czy sądzę, że taka forma protestu, jak dzisiejsze przedstawienie jest teraz w Polsce możliwa i aktualna.

Jeszcze wcześniej w barze „Ballhausu”, centralnej kwaterze organizatorów polskiej dekady kulturalnej poznałem człowieka, który dni te wymyślił, zmontował, pozbiierał i polepił, zadbał o ich rozpropagowanie i reklamę, a teraz stał na środku obszernej piwnicy obwieszanej obrazami Andrzeja Woronia, uśmiechał się, choć widać było, że jest potwornie zmęczony i mówił: „...jakoś się kręci, najgorsze było te pół roku przedtem, a poza tym do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy dostaniemy te obiecane przez senatora Hassemę 20 tys., no i niestety nikt nie chciał pomóc, żadna z polskich organizacji, a wiedzieli wszyscy. No, ale widzi Pan, zrobiliśmy...”

Olbrzymi, barwny i opatrzony reprodukcjami plakat pokazuje co zrobili ci, o których tak uprzejmie mówi w liczbie mnogiej Witold Kamiński.

Jest w lewym rogu tego plakatu zresztą taka mała informacja, że „Zbliżenia — Polskie Dni Kultury w Kreuzbergu, to cykl imprez Polskiej Rady Socjalnej i dzielnicowego urzędu d/s sztuki w Kreuzbergu przy współpracy sąsiedniego centrum młodzieżowego Naunynritze i przy poparciu senatora d/s kultury”.

Witold Kamiński, ekonomista z wykształcenia i specjalista od filmów animowanych z powołania, niegdyś pracownik łódzkiej wytwórni *Semafor* jest od 5 lat przewodniczącym jednej z zachodnioberlińskich organizacji emigracyjnych pod nazwą „Polska Rada Socjalna”. W listopadzie ub. roku rozpoczął organizację Polskich Dni '87 w Kreuzbergu. Nie znalazłem go przedtem i teraz również nie miałem okazji, by poznać go bliżej. Nie wiem też, kto go w Berlinie lubi, a kto nie, kto i z jakich przyczyn jego pomysł zignorował i zupełnie mnie to nie interesuje. Nie wiem wreszcie, z jakich powodów do tego zamierzenia nie włączyło się żadne z istniejących tu licznych polskich stowarzyszeń. Wiem natomiast co zrobił i choć nie wszystko mu się udało, było to największe polskie przedsięwzięcie, jakie na przestrzeni 4 lat mojego berlińskiego pobytu oglądałem. Niektórzy „starczy” polscy berlińczycy twierdzą zresztą, że równego mu w ogóle nie było.

Co zatem zrobił przy współpracy i poparciu kreuzberskiego urzędu d/s sztuki Witold Kamiński, a ściślej mówiąc, co mogło zobaczyć ponad 2,5 tys. osób, które przewinęły się wg pobieżnych obliczeń organizatorów między 3 a 12 maja przez oba goszczące Polaków domy przy Naunynstrasse?

Najmocniejszą niewątpliwie i najbardziej zauważalną pozycją polskiego życia kulturalnego w Berlinie jest teatr. W czasie „Dni” wystąpiły

wszystkie prowadzone tu przez polskich specjalistów zespoły sceniczne z wyjątkiem najbardziej renomowanego i uznanego od lat Teatru Transform, który od miesiąca pracuje nad swym najambitniejszym, jak dotąd i największym przedsięwzięciem przygotowując premierę „Operetki” Witolda Gombrowicza. Z zespołów które wystąpiły najbardziej profesjonalny charakter posiada w moim przekonaniu Teatr Pantomimy z Berliner

Mime Company, prowadzony przez byłego solistę teatru Henryka Tomaszewskiego z Wrocławia, tancerza i pedagoga o międzynarodowej renomie, Andrzeja Szczuzewskiego. Przedstawienie „Wizje”, z udziałem innego wybitnego tancerza polskiego Zdzisława Starczynowskiego, posiada wszystkie znamiona teatru oryginalnego, współczesnego i autentycznie zawodowego, widać w nim polską, nowoczesną szkołę pantomimy, którą wrocławski teatr zasłynął kiedyś w świecie.

Na osobne omówienie zasługuje też występ polskiej aktorki Janiny Szarek, która mieszka w Berlinie od 6 lat i zajmuje się tu działalnością pedagogiczną prowadząc prywatne studio aktorskie. Janina Szarek, absolwentka krakowskiej szkoły teatralnej i aktorka niegdyś krakowskich i wrocławskich scen, wystąpiła z recitalem wierszy Bolesława Leśmiana pt. „Czerwcami gorące”. Recital miał charakter monodramu. Neoromantyczna poezja została przez wykonawczynię równie neoromantycznie zainscenizowana. Janina Szarek dysponuje dość bogatą skalą głosową, co pozwala jej na zróżnicowaną interpretację, może nadużywać przydechu, jest też nieco monotonalna w swej ekspresji, ale gdy trzeba potrafi być dynamiczna i pełna emocji. Jej występ przypomniał dobre tradycje polskiej szkoły recytatorskiej, niegdyś tak żywe poprzez jej wirtuozów — Rittnerówną, Łado-

szą czy Warneckiego. Ten sposób interpretacji musiał być oryginalny szczególnie dla niemieckiej części widowni, bo takie środki wyrazu jak nadwyrzastłość gestu, stosowanie melorecytacji, pewien patetyczny, ale bądź co bądź szlachetny sposób podawania poetyckiego tekstu, swoisty naturalizm, raczej już tu nie praktykowany i dla mnie osobiście nieco anachroniczny, mimo to, a może właśnie dlatego silnie oddziaływały nawet

na widzów nie rozumiejących polskich słów tekstu. Pytałem o to po recitalu niemieckich gości — byli pod wrażeniem występu.

Nie zabrakło też w czasie Polskich Dni sympatycznego Teatru Lalki i Maski, który grając po niemiecku dla dzieci od kilku lat przebijają się z powodzeniem przez berlińskie sceny, a pani Halina Tramba nadaje mu przy pomocy swego zespołu coraz bardziej zawodowy charakter. Podkreślam tu świadomie, wymieniam przede wszystkim to, co w polskich prezentacjach podczas kreuzberskiego tygodnia miało charakter profesjonalny, zawodowy. Niemiecki widz jest na

to czuły, ceni jakość, kwalifikacje, amatorów ma zresztą dość w rodzimym wykonaniu. Przy zestawianiu artystycznych programów warto brać to pod uwagę.

Kulminacyjnym punktem Polskich Dni był niewątpliwie występ Teatru Ósmego Dnia. Przyjechał on z Ferrary, gdzie ma obecnie swoją emigracyjną siedzibę i wystąpił dwukrotnie przy nadkompletach widowni z inscenizacją „Autodafe” opartą na powieści Tadeusza Konwickiego „Mała apokalipsa”.

Scena ta ma już swoją międzynarodową sławę i legendę. Wartości tego teatru, to przede wszystkim siła i pasja z jaką atakuje widza swymi politycznymi spektaklami. Tak było i teraz, a poja-



Berliner Mime Company:
„wszystkie znamiona teatru oryginalnego”.

wijące się w „Autodafe” elementy formalne znane Berlinowi z przedstawień teatru Kantora czy z tego, co młodzi entuzjaści teatru, a jest ich w Berlinie bardzo wielu, wiedzą o teatrze Grotowskiego, który stale jest jeszcze żywym i uznawanym autorytetem „innego”, „ubogiego” teatru — przemawiały bardzo do widza. Zdawały się go też nie razić pewne niedostatki warsztatu aktorskiego wykonawców. I słusznie, siła poznańskiego niegdyś zespołu leży gdzie indziej.

Z Hamburga przyjechał na gościnne występy emigracyjny kabaret „Pika” ze swym nowym programem „A takiego”, z Gdyni importowali organizatorzy dwa zespoły punkowo-rockowe „Pancerne rowery” i „Apteka”, które ściągnęły szczególnie dużo polskiej młodzieży zamieszkałej w Berlinie. Występy bardzo się podobały. Ten muzyczny, polski akcent odnotować trzeba z uznaniem i sympatią, podobnie jak fragment tekstu „Pancernych rowerów” brzmiący niemal jak motto punko-rockowców: „Naszyc pancerzy nie przebiją gumowe pałki”.

Sale i pomieszczenia goszczące polskich artystów ozdabiały — i to dosłownie — prace mieszkających w Berlinie polskich malarzy i grafików. Oprócz wspomnianego już Andrzeja Worocięca goście oglądali tu np. wystawę Leszka Drzewińskiego, plakacisty o znanym już na Zachodzie nazwisku, laureata nagród wystaw m. in. w Norymbberdze i Los Angeles, zdobywającego sobie także coraz znaczącą pozycję jako rysownik komiksów. Swoje znane już z poprzednich wystaw obrazy pokazywał też Wiesław Sadurski, ciekawe prace eksponowali Elżbieta Woźniowska-Krüger, która ukończyła zresztą studia plastyczne na Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie i Mikołaj Brykałski.

A teraz kilka słów o tym, czego goście Polskich Dni w Kreuzbergu nie usłyszeli i nie zobaczyli, lub czego zobaczyć i usłyszeć nie mogli. Przede wszystkim nie mogli zobaczyć przedstawienia „Misterium podróży”, zaproszonego przez organizatorów warszawskiego Teatru Pantomimy przy Teatrze Żydowskim, ani usłyszeć recitalu gi-

tarowego Romana Ziemiańskiego z Warszawy czy monodramu Kafki („Raport dla akademii”) w wykonaniu Cezarego Morawskiego, aktora z Wrocławia. Odmówienie w ostatniej chwili paszportów polskiemu artyście z Warszawy jest skandal, aferą na dużą skalę, którą skomentowała zresztą zaraz niemiecka prasa (*Berliner Morgenpost*).



Teatr Ósmego Dnia, przedstawienie „Autodafe”: „przede wszystkim siła i pasja”.

Imprezy Polskich Dni w Berlinie planowane i przygotowywane były od pół roku, organizatorzy raz po raz upewniali się, czy nic przyjazdowi warszawskiej pantomimy nie stoi na przeszkodzie i raz po raz otrzymywali od kompetentnych osób w PRL pozytywne zapewnienia, a ostatnio nawet, jak stwierdził na zorganizowanej na zakończenie „Dni” konferencji parsowej Witold Kamiński, od przedstawicieli miejscowej Misji Wojskowej. Organizatorzy czekali do ostatniej chwili, czekali na próżno widzowie. Specjaliści od polityki paszportowej w Warszawie raz jeszcze pokazali swój „łwi pazur” — że bez sensu i ze szkodą dla polskiej kultury, kogo to tam obchodzi.

Prywatnie dowiedziałem się ponadto, że warszawski palec pogroził jakoby przy okazji przebywającemu w Berlinie Cezaremu Morawskiemu, dając mu do zrozumienia, że jeśli zgodzi się na występ, w przyszłości może na paszport nie liczyć. W tej sytuacji, ostatnie dwa dni imprezy nie mogły spełnić wszystkich oczekiwań. Ziemiański, Morawski i artyści warszawskiego zespołu pantomimy nie wystąpili, na końcowe Dni Kultury Polskiej w Zachodnim Berlinie padł cień — cień PRL-u.

A czego w programie zabrakło poza tym? Myślę, że przede wszystkim dwóch bardzo reprezentatywnych dziedzin współczesnej polskiej kultury, mianowicie literatury i filmu. Projekcje 2 do 3 interesujących pozycji polskiej kinematografii nie nastęrczyłyby chyba zbyt wielu kłopotów. Jeśli chodzi o wieczory autorskie, organizatorzy byli już podobno w kontakcie z Adamem Zagajewskim z Paryża i prof. Bartoszewskim z Monachium. Sprawa rozbić się miała o niepewne do ostatniej chwili fundusze, potrzebne głównie na

koszty podróży pisarzy. Szkoda skądinąd, że nie wykorzystano miejscowych możliwości i nie zaproszono np. mieszkającej w Berlinie tłumaczki i literatki Marii Kureckiej-Wirpszowej, będącej nie tylko prawdziwą kopalnią wiedzy o literaturze, ale obdarzonej także dużą swobodą i umiejętnością barwnego opowiadania o swym warsztacie twórczym.



Teatr Pantomimy przy Teatrze Żydowskim:
Nie dostali paszportów.

A skoro już o berlińskich warsztatach literackich mowa, to np. artysta malarz Wiesław Sadurski jest jednocześnie poetą i autorem wydanych zarówno w Polsce, jak i w RFN tomików poetyckich. Jego wieczór autorski na tle prezentowanej wystawy mógłby być szczególnie ciekawy i atrakcyjny. Andrzej Woroniec z kolei przygotowuje unikalny, bibliofilski zbiór swoich grafik do wierszy poety berlińskiego Martina Pohla — reminiscencji poetyckich z jego odwiedzin w rodzinnym, śląskim miasteczku. Album o ograniczonym, kosztownym nakładzie przygotowwany jest pod mecenatem Związku Niemieckich Literatów na tegoroczne Targi Książki we Frankfurcie z wierszami po polsku i po niemiecku.

Piszę o tym nie po to, aby wytykać braki, lecz wyłącznie z myślą na przyszłość, bo już z tego krótkiego przeglądu widać, jak bogaty był program „Dni” i jak wiele zamierzili organizatorzy. A skoro o nich mowa muszę jeszcze koniecznie wymienić sympatyczną panią Ulrike Treziak z urzędu d/s sztuki, entuzjastkę polskich dokonań artystycznych w Berlinie, dzielnie sekundującą Witoldowi Kamińskiemu w trudach tego małego festiwalu.

Tyle o majowym Kreuzbergu po polsku.

Nie dziwi mnie w gruncie rzeczy, że Dni Polskie nie stały się ambicją i udziałem tych wszyst-

kich organizacji polskich, które istnieją w Berlinie Zachodnim, przywykłem bowiem do tego, że o wiele łatwiej zorientować się w historycznym rodowodzie i powiązaniach emigracyjnych koterii z Hotelu Lambert, niż w zawiłościach polskich w tym mieście. Nie dziwi mnie też, że na różnych imprezach w Kreuzbergu spotykałem tak nielicznych przedstawicieli polskiego środowiska. Takiego bowiem tutaj w ogóle nie ma. Tylko, że proszę państwa, niemieckich gości, których w Kreuzbergu zjawiało się sporo, naprawdę niewiele obchodzi, kto to zorganizował, czy kto wymyślił, ewentualne rozgrywki ambicjonalne i personalne nikogo nie interesują. Ważne jest dla nich, czy to, co oglądają jest dobre, czy nie i czy warto będzie przyjść znowu.

„Polskie Dni” udały się, mimo braków i błędów, na pewno. Dla tzw. sprawy polskiej zrobili więcej, niż wiele przemówień, dyskusji, artykułów i cieszę się, że w przyszłym roku odbędą się znowu. Kto i na ile się do ich powodzenia przyczyni, to już sprawa całkowicie inna, choć też ważna. Zagłoba powiedziałby w tym miejscu — kupą Mości Panowie, starzy Polacy mówiliby „mądrzej głowie...”, a jeszcze starsi Rzymianie zwięźle: Sapienti sat!

SENSACYJNA NOWOŚĆ!

Nadbitka wywiadu
płk. WP R. J. KUKLIŃSKIEGO
z nr. 4 »Kultury« p.t.

WOJNA Z NARODEM

Przygotowania do rozprawy
z Solidarnością.
Szczegółowe plany przeprowadzenia
stanu wojennego.

Str. 58 cena: DM 7,50

do nabycia:

STODIECK'S BUCHHANDLUNG
Księgarnia Polska
1000 Berlin 10
Richard-Wagner-Str. 39

Katalogi wysyłamy bezpłatnie!

Reformy wciągane przez głowę

Jak jest naprawdę? Dobrze, czy zupełnie beznadziejnie? Idzie ku lepszemu, czy ku katastrofie? Dawniej, odpowiedź była jednoznaczna. Prasa krajowa uprawiała propagandę sukcesu, natomiast po tej stronie obraz malowało się na czarno i wszyscy byli zadowoleni. Te czasy minęły. O zadłużeniu dolarowym głośno ćwierkają wróble nawet na Domu Partii. Nieco ciszej o tym, że w bratnich krajach wzrosło ono do ok. 10 mld dolarów. Charakterystyczne, że to też wyrażane jest w dolarach. Pod względem eksportu PRL zjechała z 29 miejsca (1980 r.) na 40 w tabeli światowej, gdzie dumnie sąsiaduje z Albanią. Deficyt budżetowy — po amerykańsku — „spuchł” do 600 mld zł. Budownictwo mieszkaniowe znalazło się w stanie atrofii — na samym dole w krajach obozu, czyli dwa razy poniżej p r z e c i ę t n e j europejskiej. Grozi katastrofa ekologiczna. Zatrważająco spada długość życia ludzi w wieku produkcyjnym.

No a co z tymi reformami? Podczas pobytu w Londynie rzecznik rządu Urban zapewniał nas, że reformy są wcielane w życie. Tymczasem taki niepośledni autorytet jak prof. Józef Kaleta, rektor Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu twierdzi, że reformy są wciągane przez głowę. Dlaczego profesor tak sądzi? Bo „centrum” zamiast wprowadzić w ciągu 2 lat dawno zapowiadaną kompleksową reformę, zabrało się do cucenia gospodarki fragmentarycznie. Co gorsza, obecnie ludzie bliscy owego „centrum” powiadają bez ogródek, że wprowadzenie reformy jest niemożliwe. To nic nowego, bo przecież długoletni „reformator” Bobrowski utrzymywał, że zbawienie to węgiel. Ten kamień węgielny gospodarki zawiódł. I choć Bobrowski już odszedł, to inni otwarcie powiadają, że należy wrócić do starych metod, do sprawdzonych praktyk.

Prof. Kaleta jest przekonany, że następuje gremialny odwrót zarówno od teorii, jak i praktyki reform. A to dlatego, że bez przebudowy centrum

nie może być mowy o reformach. A tam, zamiast rzeczywistych zmian, odbywa się przetasowywanie. W całym kraju administracja puchnie w oczach. W przeciętnym przedsiębiorstwie 1/3 personelu, to urzędnicy. Co oni robią? Piszą — jak powiada Kaleta — różne idiotyczne sprawozdania, których nikt nie czyta. Bez kastracji — jak to obrazowo ujmuje profesor ekonomista — reforma pozostanie w krainie marzeń.

Bolesną operację może przeprowadzić — na wzór chiński i moskiewski — tylko partia. Profesor nie mówi wyraźnie, że PZPR jest do tego niezdolna, czy nieskonna, twierdzi jedynie, że „Sejm powinien być r z e c z y w i ę c i e najwyższą władzą państwową.” A więc nie partia, która dotychczas podejmowała wszystkie ważne decyzje gospodarcze. Profesor postuluje rozwiązanie wszystkich komitetów przy Radzie Ministrów, zlikwidowanie wszystkich ministerstw gąłęziowych, przekształcenie większości zrzeczeń z obligatoryjnych, w dobrowolne. Są to propozycje przerażające dla biurokratów, którym skończyłyby się ciepłe posadki. A więc bezrobocie — czyli schorzenie występujące jedynie w zgnitym kapitalizmie? Bezrobocie i tak istnieje — powiada Kaleta — tylko zakamuflowane. Zachodzi wobec tego pytanie, jak długo można stosować kryteria socjalne w gospodarce?

Odpowiedź profesora jest równie jednoznaczna, co niedyplomatyczna — do czasu, aż wszyscy będziemy mieli wielkie g... Bo oficjalnie walczy się z egalitaryzmem, ale faktycznie ta „filozofia leniwych” obowiązuje. Ratuje się złe firmy kosztem dobrych, zniechęca dobrze pracujących i zarabiających, stosując wobec nich różne podatki progresywne, wyrównawcze itd., po to, aby dopłacać l e n i w y m. W rezultacie równo, „sprawiedliwie” wszyscy opadają w kierunku dna. Gorzki to werdykt. Płace są niskie, a jaka płaca — taka praca. To drakońskie podatki powodują niskie uposażenia. Państwo zapewnia obywatelom

lom PRL stosunkowo niskie ceny węgla, gazu czy mieszkania nie dlatego, że wspaniałomyślnie, ale dlatego, że obywatel za to płaci podatki. Takie stwierdzenie, oczywiste w ustach studenta pierwszego roku ekonomii, brzmi rewolucyjnie w ustach profesorskich. Kaleta demaskuje też fakt, że wieś utrzymuje miasto. Jak? Nabywając po zawyżonych cenach artykuły przemysłowe. Drogich z powodu podatków, którymi finansuje się komunikację miejską, wodociągi itp.

A jak rozwiązać gordyjski węzeł PRL-owskiej sytuacji mieszkaniowej? Metodą grecką. To znaczy zwalniając na 10 lat z podatków wszystkie firmy zajmujące się budownictwem i produkcją materiałów budowlanych. Tą metodą w ciągu 7 lat Grecja z ostatniego wyszła na drugie miejsce w europejskim budownictwie mieszkaniowym. W PRL natomiast powołuje się specjalną radę, publikuje lawinę przepisów. Na całym świecie — powiada ze smutkiem Kaleta — istnieją preferencje kredytowe i podatkowe dla ludzi przedsiębiorczych, w PRL gnębi się ich, pomagając utrzymać przy życiu leniuchów.

Obserwując systemy zachodnie z bliska przestrzegalbym przed ich idealizowaniem, ale wiem, o co Kalecie chodzi, co pragnie wykazać. W „realnym” socjalizmie gnębienie inicjatyw jest regułą, na zgnitym Zachodzie raczej wyjątkiem. Znane jest powiedzenie, iż nie sposób robić jajeczniczy bez rozbicia jajek. Kaleta postuluje gospodarczą strategię, która zagraża dotychczasowym przywilejom rządzącej nomenklatury, ma tym samym nikłe szanse powodzenia. Bo powiedzmy sobie otwarcie — gospodarka rynkowa, mechanizm cen, wolna konkurencja, minimalizowanie dotacji, popieranie przedsiębiorczości — nie są to hasła mile nie tylko dla nomenklatury, lecz także dla niemałej liczby wyznawców zasady, czy się stoi czy się leży, tyle a tyle (uwzględniając inflację) się należy.

Spółczesność polskie wini — i słusznie — za fatalną sytuację gospodarczą kraju kolejne ekipy. Pozostaje jednak pytanie, czy ono samo jest, czy byłoby gotowe do poświęceń koniecznych do odbicia się od dna. Modna obecnie nad Wisłą propaganda gospodarczej klęski nie wróży niczego dobrego. Jest to tylko zręczny manewr rozładowywania — do czasu — niezadowolonych społecznych. Nie widać natomiast ani woli władzy do popierania niepopularnych decyzji, ani woli społeczeństwa, by zrobić coś więcej, niż tylko na-

rzekać i powtarzać, że ONI winni. Stanowisko prof. Kalety nie jest unikalne, ale rzadkie. Wygląda na głos wołającego na puszczy. A takie słyszeliśmy już w przeszłości i na wołaniu się skończyło.

Londyńczyk

Dokończenie ze str. 37

Na zakończenie chciałbym zwrócić się do wszystkich, którzy być może posiadają jakieś informacje na temat opisanej przed chwilą, wydanej w czasie okupacji serii znaczków Podziemnej Poczty Polskiej.

Nie znana jest np. wysokość nakładu znaczków wydanych przez PPP, z której tylko ok. 400 serii uratowanych zostało przez Hansa Seefeldnera, z czego znów tylko ok. 100 serii znalazło się w posiadaniu jego spadkobierców. Nie wiadomo gdzie się podziało pozostałych 300 serii. Jeśli ktokolwiek z Czytelników coś wie na temat tego wydania, będę wdzięczny za wiadomość na adres redakcji z dopiskiem — dla Anatola Kobylńskiego.

Dokończenie ze str. 44

Czy Gorbaczow osiągnie równocześnie swój cel, jakim jest ożywienie gospodarki i podniesienie jakości produkcji, zapisane jest jeszcze w gwiazdach. Również otwarte pozostaje pytanie, jak zareaguje na reformy społeczeństwo sowieckie, bowiem modernizacja gospodarki pochłaniając olbrzymie sumy z pewnością nie przyczyni się do istotnej poprawy jego stopy życiowej. Czy będzie pracowało lepiej i efektywniej, aby przyczynić się do podniesienia wydajności gospodarki?

Na koniec można wyrazić wątpliwość, jak dalece Gorbaczow może sobie pozwolić na „radykałne reformy”, które wymagają znacznej decentralizacji i przekazania pełnomocnictw na zakładom, republikom związkowym i obwodom. Przez to w sowieckim imperium może się wzmocnić dążenie wielu narodowości do samodzielności. Niepokoją na tle narodowościowym w Ałmacie mogą tu być sygnałem tego, co może jeszcze ze spotęgowaną siłą nastąpić.

((Za: *Neue Zürcher Zeitung*, 14. 05. 1987)

Tłum. as

Praca nagrodzona III nagrodą w konkursie na recenzję książki wydanej w 1986 roku w polskim wydawnictwie emigracyjnym, bądź też podziemnym wydawnictwie w kraju.

»WITOLD«

Historia bez białych plam

KSIĄŻKA KAROLA LISZEWSKIEGO O WOJNIE POLSKO-SOWIECKIEJ 1939

W historii II wojny światowej jest dużo białych plam. Sporo istotnych wydarzeń nie doczekało się, z wielu względów, naukowego opracowania. Bez wypełniania tych luk nie można jednak pisać rzetelnej historii najnowszej.

Uwagi te dotyczą również ważnej nie tylko dla historii Polski, lecz także dla historii powszechnej wojny polsko-sowieckiej 1939 roku, nawet w poważnych, nie podlegających ingerencji cenzury opracowaniach historycznych zbywanej co najwyżej wzmiankami. A przecież nawet wojny polsko-niemieckiej, obrony Warszawy, obrony Helu, przebiegu wielu bitew (np. bitwy pod Kockiem) nie można przedstawić zgodnie z prawdą bez uwzględnienia spłotu okoliczności związanych z agresją sowiecką rozpoczętą o świcie 17 września 1939 roku. Przemilczanie zaś tego faktu nieuchronnie prowadzi do zafałszowywania obrazu historycznej rzeczywistości. Można mieć tylko nadzieję, że rozległy obszar tematyczny dotyczący dziejów narodu polskiego na Wschodzie po wkroczeniu wojsk sowieckich częściej będzie się stawał przedmiotem intensywnych badań naukowych.

Książka Karola Liszewskiego „Wojna polsko-sowiecka 1939 roku” jest zwiastunem spełnienia się tej nadziei. Jak sugeruje tytuł ma to być swego rodzaju synteza historyczna, ale po zapoznaniu się z treścią tej interesującej pracy zaliczyłbym ją raczej do przyczynków, bądź też do opracowań stanowiących jedynie szkicową próbę takiej syntezy.

Autor korzystał z rozmaitych źródeł, z literatury niecenzurowanej i cenzurowanej, z materiałów trzech londyńskich placówek, a także z relacji pisemnych i ustnych, zebranych osobiście od uczestników bądź świadków opisywanych zdarzeń.

Zarazem jednak jego praca potwierdza, iż wciąż nawet ustalenie podstawowych faktów, takich chociażby jak miejsca postoju polskich formacji wojskowych, ich stanów liczebnych, daty wkraczania wojsk sowieckich do poszczególnych miejscowości, a jeszcze bardziej szczegółów dotyczących bitew i potyczek oddziałów polskich z wojskami sowieckimi, jest zadaniem nadzwyczaj trudnym. Historyk próbujący zająć się tym tematem skazany jest na korzystanie z mało wiarygodnych materiałów jakimi są wspomnienia, pisane najczęściej po upływie wielu lat od chwili działania się przedstawionych w nich zdarzeń.

Autor omawianej książki — również opartej głównie na wspomnieniach w ich pierwotnej formie lub w przetworzonej postaci — starał się opisać „piętnastodniową (?) wojnę polsko-sowiecką” możliwie najpełniej, z uwzględnieniem działań formacji wojskowych, spontanicznego oporu ludności cywilnej, a także z ukazaniem eksterminacyjnych poczynań wojsk sowieckich. Taki szeroki zakres tematyczny nie jest — w tym przypadku — zaletą książki; zyskałaby ona w wartości poprzez ograniczenie tematu do dziejów tych wszystkich oddziałów wojsk polskich, które znalazły się w zasięgu inwazji sowieckiej.

Podział obszaru objętego inwazją na trzy odcinki: „Północ”, „Środek” i „Południe”, a zarazem trójdzielny układ książki według tego samego klucza nazewnictwa, jest – moim zdaniem – w pełni uzasadniony specyficzną sytuacją każdego z tych oddziałów, a także techniczną niejako koniecznością rozczłonkowania stosunkowo wielkiej całości na części umożliwiające głębszą analizę szczegółów typowych tylko dla danego z nich.

Autor – jak sam stwierdza – pracuje „nad rozszerzonym i pogłębionym opracowaniem tematu” apelując jednocześnie o „wszelkie informacje dotyczące walk polsko-sowieckich i w ogóle wydarzeń na Ziemiach Wschodnich”.

Podejście K. Liszewskiego do tematu skłania do poważnego potraktowania apelu. Zwłaszcza, iż badania historyczne w tej dziedzinie długo – a może i w ogóle – nie będą mogły opierać się na źródłach archiwalnych, gdyż trudno liczyć na otwarcie sowieckich archiwów, które ponadto mogą okazać się puste, albo gruntownie zafalszowane. Wiadomo natomiast, że pewne dokumenty w rodzaju listów, kart pocztowych, kopii protokołów rewizji, nakazów, wezwań itp. znajdują się w posiadaniu osób prywatnych, jako pamiątki rodzinne i są bardzo trudno dostępne dla historyków.

Odpowiadając na apel autora chciałbym zasygnalizować, że dotychczas nie ma chyba żadnego opracowania przedstawiającego dzieje Polaków, którzy z odcinka „Północ” przedostali się na Łotwę. Z posiadanych listów i pocztówek oraz zanotowanych wspomnień wiem, że m. in. znalazła się tam część baonu KOP „Łużki”. Na Łotwie istniały dwa obozy dla wojskowych (w Ulbroce – dla oficerów i w Lilaste – dla podoficerów), a także – prawdopodobnie – trzeci obóz dla osób cywilnych. W 1940 roku polskich wojskowych przetransportowano z Łotwy do Kozielska, skąd wiosną 1941 roku wywieziono ich na Półwysep Kolski.

Z innego źródła i odnośnie już innego zagadnienia wiadomo mi, że krótko po napaści wojsk ZSSR na Polskę radykalnie zmieniło się nastawienie znacznego odsetka ludności białoruskiej i żydowskiej do władz sowieckich. W powiecie dzisiejskim wielu z tych, którzy kwiatami i z koszami jabłek witali wkraczających Sowietów już pod koniec 1939 roku brało udział w spontanicznie rozwijającym się ruchu oporu. Przełom lat

1939/40 na Wileńszczyźnie charakteryzował się powstawaniem, nawet w małych miejscowościach, grup konspiracyjnych, głównie młodzieżowych, w skład których wchodziłi również Białorusini i Żydzi. Takie grupy działały m. in. na Szarkowszczyźnie, w Hermanowiczach, w Łużkach i w Głębokiem. Powyższe informacje świadczą, że w literaturze przedmiotu, łącznie z pracą K. Liszewskiego, nie uwzględnia się jeszcze wielu znaczących zdarzeń i faktów. Niemniej jednak „Wojna polsko-sowiecka 1939 roku” należy do niewielkiej liczby opracowań rzetelnie oświetlających te obszary dziejów ojczystych, które nie tylko z woli sił politycznych Wschodu miały zniknąć w mroku zapomnienia.

Omawiana praca ma sporo usterek, które łatwo usunąć w kolejnym wydaniu książki (na co ta pozycja w pełni zasługuje) nawet bez dodatkowych badań i uzupełnień merytorycznych. Chodzi przede wszystkim o sporządzenie map przedstawiających – jak się to mówi – „szlaki wojenne” każdej z omawianych formacji wojskowych, od 17 września do chwili rozwiązania lub opuszczenia przez nie granic Rzeczypospolitej. Na mapach mogą być zaznaczone miejsca bitew i potyczek z wojskami sowieckimi oraz prosowieckimi ugrupowaniami miejscowymi, z odpowiednim oznaczeniem danych zweryfikowanych naukowo, a także informacji wymagających uściślenia, bądź sprawdzenia. Kartograficzna prezentacja informacji może przyczynić się do lepszej czytelności pracy oraz do ukazania tematów i obszarów zbadanych lub wymagających dalszych badań.

Zastrzeżenia budzi niekiedy zbyt pochopny osąd osób wymienianych w książce. Można to rozumieć i tolerować we wspomnieniach osobistych, ale nie w rozprawie o charakterze naukowym.

Nie najmocniejszą stroną pracy jest język. Trudno w tym miejscu szerzej omawiać niedostatki stylistyczne, gramatyczne itp. Ograniczmy się więc do dwóch przykładów. Autor kilkadziesiąt razy umieszcza w tekście odsyłacze w rodzaju: „będzie mowa dalej”, „por. niżej”, „patrz niżej”, „por. wyżej”, „por. Addendum” i pokrewne. Na niejednej stronie można znaleźć wyrazy i zwroty niepoprawne nie tylko z punktu widzenia zasad językowych; na przykład na stronie 163 czytamy, że gen. Langner „jakimś cudem przedostał się na Zachód” (nie jedyna to w książce wzmianka o cudzie), że „bolszewicy zamordowali żywcem” (!)

oraz zwroty: „duża ilość policjantów” (w odniesieniu do osób bardziej właściwe jest słowo „liczba”), albo „Co się dotyczy” (jeśli już, to „co się tyczy”).

W sumie jednak książka K. Liszewskiego jest pozycją ważną i po opracowaniu L. Jerzewskiego (pseud.) „Agresja 17 września 1939. Studium aspektów politycznych”, wydanym w 1979 roku w kraju poza zasięgiem cenzury, zaledwie drugą pracą, która w całości poświęcona jest naukowemu rozpoznaniu wybranych aspektów (w tym przypadku — militarnych) II wojny światowej w jej początkowej fazie, na obszarze i w kierunku słabo dotychczas zbadanym przez historyków. Wydawcy — Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie — należą się słowa uznania za, jak należy sądzić, szczególnie i konsekwentne zainteresowanie się problematyką dziejów Polski i Polaków na Wschodzie po 17 września 1939 roku.

O takich zainteresowaniach zdaje się świadczyć fakt wydania przez PFK tomu wspomnień — plonu dwóch konkursów ogłoszonych przez Fundusz Kazimierza F. Vincenza w Szwajcarii — „Moje zderzenie z bolszewikami we wrześniu 1939 roku”. Myślę, że zbliżająca się 50 rocznica wybuchu II wojny światowej przyczyni się również do zintensyfikowania badań dotyczących tego okresu dziejowego, a i wojna polsko-sowiecka zajmie w nich odpowiednie miejsce. ■

Z Kopenhagi...

Roman Śmigieński

SZPIEGOWSKA BAJKA DLA GRZECZNYCH DZIECI

Nledokończony scenariusz

18 kwietnia br. o godz. 23.00 polski prom „Laft-cut” wypływa z Kopenhagi. Na promie znajdują się m. in. obywatele duńscy: 36-letni inżynier Jens Ellekaer i 22-letni student Niels Hemmingsen, a także samochód, którym mają zamiar podróżować po Polsce. Prom dociera do Świnoujścia w niedzielę wielkanocną o godz. 9.30. Duńczycy jadą do Szczecina. Tego samego dnia o godz. 18.00 znajdują się w Koszalinie. Co robili w międzyczasie — nie wiadomo. O

godz. 18.20 wartownik „objektu wojskowego” w Koszalinie zauważył uciekać dwóch mężczyzn, którzy na jego widok próbują uciekać. Rozpoczyna się pogon samochodowa. Nie trwa ona jednak długo i kończy się aresztowaniem Skandynawów, w posiadaniu których znajduje się aparat fotograficzny. Podobno w momencie zatrzymania próbowali oni zniszczyć film z aparatu, ale im się to nie udało.

W środę na cotygodniowej konferencji prasowej Jerzy Urban mówi o aresztowaniu duńskich szpiegów. Są oni od siebie odizolowani. Dopiero po miesiącu (19 maja) przedstawiciel duńskiej ambasady dostaje pozwolenie na zobaczenie się z aresztowanymi. Rozmowa odbywa się w obecności tłumacza. Aresztowanym zabroniono mówić na temat toczącego się śledztwa, które może potrwać jeszcze ok. trzech miesięcy.

Tyle mniej więcej wiadomo w chwili obecnej.

Winowajcy czy ofiary?

Przy dzisiejszych możliwościach (satelity szpiegowskie) bezpośrednie fotografowanie „objektów wojskowych” wydaje się śmieszne i po prostu amatorskie. Z drugiej jednak strony w Polsce do „objektów wojskowych” zalicza się wiadukty i dworce kolejowe, a ewentualne rzeczywiste obiekty wojskowe czy to w Szczecinie, czy w Koszalinie są prawdopodobnie „poniemieckie”, a co za tym idzie doskonale znane na Zachodzie. Możliwe jest też, że władzom polskim potrzebna była afera szpiegowska z udziałem Duńczyków jako odwet za wykrycie podsłuchu w ambasadzie duńskiej w Warszawie.

Mimo, iż z dotychczasowych informacji wynika, że sprawa Duńczyków jest grubymi nićmi szyta uważam, że zostaną oni skazani za szpiegostwo... aby zaraz potem za odpowiednią opłatą w twardej walucie można było ich zwolnić. Podobnie stało się przecież z kierowcą szwedzkiej ciężarówki Järnem, którego nakryto z transportem maszyn drukarskich i książek dla „Solidarności”. Został on z wielkim hałasem aresztowany (w Świnoujściu oprócz celników czekała na niego ekipa telewizyjna) i skazany, a w połowie maja br. za ponad 300 tys. szwedzkich koron wypuszczony.

Czyżby wreszcie znaleziono receptę na rozwiązanie polskich kłopotów walutowych? Przybywający do Polski zachodni turyści nocować może będą w „hotelach” nie należących do Orbisu i mających o wiele gorszy standard, jednak za cenę, która bije na głowę wszelkie Sheratony czy Hiltony.

Duńska opinia publiczna, wychowana w tradycji bajek Andersena ma duże wątpliwości co do zasadności oskarżenia ich rodaków o szpiegostwo. Jak jest naprawdę? „Wszystko to być może, ja to jednak między bajki włożę”. ■

KRONIKA EMIGRACYJNA

MISJA WOJSKOWA PRL I POLSKI FOLKLOR W BERLINIE ZACHODNIM

W dn. 20.05. br. w dzielnicowym domu kultury zachodniobierlińskiego osiedla robotniczego Groppiusstadt wystąpił polski folklorystyczny Zespół Pieśni i Tańca Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Do Berlina Zachodniego lubelscy studenci przyjechali już po raz drugi na zaproszenie Deutsch-Polnische Gesellschaft (Towarzystwo Polsko-Niemieckie), którego ok. 20 filii działa w RFN pod „przewodnictwem” ambasady PRL w Bonn. Zachodniobierliński oddział Deutsch-Polnische Gesellschaft, jak twierdzi jego zarząd, działa „samodzielnie”, jednak przy „współpracy” z Misją Wojskową PRL w Berlinie.

Monotonny koncert amatorskiego, 40-osobowego zespołu UMCS oglądało za jedyne 5 DM nie więcej niż 100 widzów. Publiczność stanowili w dużej części członkowie w/w towarzystwa oraz pracownicy Misji Wojskowej PRL – wpływy ze sprzedaży biletów (ok. 500 DM) nie wystarczyły nawet na pokrycie kosztów jednego posiłku dla grupy, nie mówiąc już o hotelu. Członkowie zespołu nocowali więc prywatnie w domach gospodarzy z Deutsch-Polnische Gesellschaft. Resztę kosztów pokryła Misja Wojskowa.

Nakłady były więc wysokie, efekt propagandowy niewielki, pomijając kilka ewentualnych nowych zgłoszeń do proreżymowego towarzystwa, którego członkowie wyjeżdżając do Polski zwolnieni są w 50 % od przymusowej wymiany dewiz.

UDZIAŁ POLAKÓW W JUBILEUSZU BERLINA

Do trwającego przez cały rok jubileuszu 750-lecia miasta włączyli się także zachodniobierlińscy Polacy. Okolicznościowa ulotka z napisem „750-lecie obchodzimy razem z wami – polscy emigranci” zawiera krótką notatkę pt. „Dla czego wyemigrowaliśmy?” oraz przedstawia zachodniobierlińskie zrzeszenie „Grupa Samopomocy Polaków na Emigracji” istniejące tu od 1984 r. i przejawiające szczególnie w ostatnim okresie znaczną aktywność. Prowadzi ono obecnie akcję popularyzacji i akcentowania roli polskiej emigracji w życiu społecznym Berlina.

Na odbywających się późną jesienią okolicznościowych festynach przed ratuszami kilku największych dzielnic miasta znajdują się specjalne stoiska polskie z ulotkami i broszurami na temat życia Polonii zachodniobierlińskiej i charakteryzujące organizacje emigracyjne, szczególnie te działające od stanu wojennego.

W ramach tej akcji pierwsze takie stoisko zorganizowano 23 maja przed ratuszem dzielnicy Neukölln, gdzie mieszka szczególnie dużo Polaków. Stoisko zorganizowano z publikacjami w języku polskim i niemieckim na temat historii i kultury Polski. Inicjatywa i jej pierwsze wyniki zasługują na uznanie. Można więc mówić o szerokiej panoramie prezentowanych tu akcentów polskich. jh

PANTOMIMA SZCZUŻEWSKIEGO

Berliński lewicowy dziennik TAZ (8. 05.) obszernie przedstawia Andrzeja Szczużewskiego, polskiego aktora, założyciela teatru pantomimicznego w Berlinie Zachodnim „Berliner Mime Company” (1984). Andrzej Szczużewski urodził się w roku 1948 – pisze TAZ – w Warszawie i od 1982 roku mieszka w Berlinie. Prowadzi klasę pantomimy w centrum kulturalnym na Kreuzbergu „Die Etage”. Jest również wykładowcą „w szkole ruchu” znajdującej się również w tej dzielnicy.

W wieku 16 lat Szczużewski został członkiem teatru Tomaszewskiego we Wrocławiu. W roku 1975 założył warszawski Teatr Mimów (Warsaw Mim Theatre), był choreografem warszawskiej opery, pracował również w „Transformtheater” w Berlinie Zachodnim. W tym też mieście wystawił kilka sztuk, m. in. „Zwierciadło”, „Krzesło”.

W ramach Polskiego Tygodnia w dn. 8. 05. artysta przedstawił w kreuzberskim Ballhaus spektakl „Wizje”. W związku z tym przedstawieniem TAZ przeprowadził ze Szczużewskim wywiad, w którym wypowiedział się on m. in. na temat swojej pracy: „Interesuje mnie przede wszystkim człowiek z jego problemami, dążeniami, cierpieniami... Konfrontacje z istniejącym społeczeństwem, w którym wszystko kręci się wokół jednego: kupać albo umrzeć. Uczucie ciągłej konieczności poruszania się między naciskiem z zewnątrz i chwilami rozluźnienia.”

Na pytanie, czy w Polsce jako artysta miałby on lepsze warunki pracy Szczużewski odpowiada: „Z pewnością. Nie mam żadnych trudności, aby mieszkać w Polsce. Brakuje mi jednak czasu, aby pracować tam artystycznie. Ze wszystkich możliwości wydaje mi się, iż Berlin jest najbardziej odpowiednim miejscem, w którym mogę realizować moje idee. W międzyczasie jestem również zaangażowany tutaj zawodowo.” ■

BERLIŃSKA POLONIA W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

Taki był temat publicznej prelekcji wygłoszonej w dniu 1. 06. 1987 r. w zachodniobierlińskiej Akademii Ewangelickiej (Haus der Kirche, Goethestr.) przez prof. dr Annę Poniatowską z poznańskiego oddziału Polskiej Akademii Nauk. Znana specjalistka od stosunków polsko-niemieckich przedstawiła ok. 60 zachodniobierlińczykom, wśród których było wiele starszych osób pamiętających owe czasy z autopsji, nielatte życie polskiej mniejszości narodowej w stolicy Rzeszy.

O ile Polacy jako obywatele państwa pruskiego w okresie rozbiorów byli w miarę przyjaźnie traktowani na terenach rdzennie niemieckich, gdzie potrzebni byli jako siła robocza, to po powstaniu państwa polskiego w roku 1918 stosunek Niemców do polskiej mniejszości narodowej generalnie się zmienił. Ówczesny kanclerz niemiecki Stresemann, który objął urząd w roku 1923, otwarcie wyraził swoją niechęć do Polaków z powodu „krwawiającej” granicy wschodniej, jako że w nowo powstałej Polsce znalazły się tereny, np. woj. poznańskie, na których mieszkali Niemcy i które wg Stresemanna powinny należeć do Republiki Weimarskiej. Niechęć do nowo powstałego państwa polskiego odbijała się więc na zamieszkałych na terenie Rzeszy Polakach. Ponad 12 tys. Polaków z Berlina zdecydowało się tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości na powrót do ojczyzny. Wg danych szacunkowych tuż po I wojnie światowej w Berlinie mieszkało od 100 do 120 tys. Polaków, nie było jednak żadnej

polskiej dzielnicy ani innego polskiego ośrodka. Podobnie jak dzisiaj Polacy mieszkali w różnych dzielnicach Berlina oraz na jego przedmieściach, które dziś zaliczają się do dzielnic centralnych — np. Charlottenburg czy Schöneberg.

Dlaczego tylko ok. 12 tys. powróciło do ojczyzny? Za decydujący o tym, wg prof. Poniatowskiej, lepsze warunki materialne w jakich Polacy żyli w Berlinie oraz brak perspektyw w biednej Polsce. O ile w państwie pruskim w Berlinie działało ok. 300 polskich organizacji, to tuż po I wojnie światowej liczba ich zmniejszyła się do 60.

Niemiecy Polacy brali udział w wyborach do Reichstagu w roku 1921, 1925 i w roku 1933, przedstawiając własną listę wyborczą tzw. mniejszości narodowej. Na listę tę w roku 1921 oddano 120 tys. głosów, w tym 4,5 tys. z samego Berlina, przy czym pamiętać należy, iż polscy wyborcy głosowali nie tylko na listę narodową, lecz zgodnie ze swoimi przekonaniami politycznymi przede wszystkim na SPD. Podczas wyborów marcowych w roku 1933 na listę polskiej mniejszości narodowej oddano z Berlina 920 głosów. Związek Polaków tuż przed II wojną światową liczył w Berlinie jeszcze ok. tysiąca członków. Była to liczba niewielka, bowiem w Związku Polaków pozostali jedynie ci najbardziej świadomi.

Zarówno w Republice Weimarskiej jak i w III Rzeszy władze prowadziły politykę narodowościową. W Berlinie odmawiano Polakom możliwości uczestniczenia w masach św. w jęz. polskim, nie było polskich szkół, księża niemieccy nie zezwalali na polskie uroczystości kościelne. W okresie hitlerowskim przed II wojną światową pozwalano jednak na istnienie polskich zrzeżeń obawiając się, że ich zakaz mógłby spowodować podobną reakcję władz polskich w stosunku

do zrzeżeń niemieckich i niemieckiej mniejszości narodowej na terenie Polski. Tak więc polskie zrzeczenia działały w Berlinie, ciągle jednak napotykać na trudności ze strony władz, co w dyskusji szczególnie podkreślili przedstawiciele starej Polonii. W roku 1938 hitlerowska Rzesza pozwoliła Polakom nawet na odbycie w Berlinie kongresu niemieckiej Polonii, w którym wzięło udział 5 tys. osób.

W spisie ludności przeprowadzonym przez władze hitlerowskie w maju 1939 roku tylko 14 tys. osób na terenie takich ówczesnych Niemiec podało swoją narodowość jako polską, narażając się tym samym na prześladowania. Po wypowiedzeniu przez Niemcy polsko-niemieckiego układu o nieagresji sytuacja Polaków w Niemczech stała się dramatyczna. 17 sierpnia, tuż przed wybuchem II wojny światowej gestapo podczas szturmowania Domu Polskiego przy Potsdamer Str. 61 będącego centralą Związku Polaków aresztowało polskich działaczy. Wielu z nich zostało następnie zesłanych do obozów koncentracyjnych.

Znaczna część Polaków uczestniczyła aktywnie w działaniach ruchu oporu przeciwko Hitlerowi na terenach niemieckich. Niemiecy historycy do dzisiaj jeszcze nie zajęli się tym tematem, a przecież, co właśnie podkreślono w dyskusji, Polacy jako obywatele niemieccy byli częścią składową niemieckiego, antyhitlerowskiego ruchu oporu. Jedyne dziennikarz Jürgen Vietig (obecnie korespondent *Süddeutsche Zeitung* w Warszawie — przyp. red.) napisał dłuższy artykuł o polskim ruchu oporu przeciwko Hitlerowi.

Wykład prof. Anny Poniatowskiej, autorki pracy historycznej pt. „Polacy w Berlinie”, choć ogólny, dał jednak solidne podstawy do dłuższej dyskusji, w której szczególnie cen-

<p>Zamawiam:</p> <p><input type="checkbox"/> roczną</p> <p><input type="checkbox"/> półroczną</p> <p><input type="checkbox"/> kwartalną</p> <p><input type="checkbox"/> prenumeratę dwutygodnika „Pogląd”.</p> <p>(Ceny podajemy na przedostatniej stronie „Poglądu” pojedyncze egzemplarze reklamowe wysyłamy bezpłatnie.)</p> <p>Zamawiam książki:</p> <p>Józef Kraśmierzek POLSKA A ZACHÓD, czyli oczekiwanie na pomoc cena DM 12,- egz.</p> <p>W. M. Alexander AGENTURA Państwo policyjne cena DM 12,- egz.</p> <p>Zygmunt Jabłoński GABINET FIGUR RADIOWYCH cena DM 25,- egz.</p> <p>Christian Skrzypozek WOLNA TRYBUNA cena DM 29,- egz.</p> <p>Witold Wirsza POLAKU, KIM JESTEŚ? DM 19,50 egz.</p> <p>Imię i nazwisko:</p> <p>Adres:</p> <p>Podpis:</p>	<p>Pogląd</p> <p>PUBLICYSTYKA WYWIADY KOMENTARZE OMÓWIENIA AKTUALNY SERWIS INFORMACYJNY O SYTUACJI W KRAJU I NA ŚWIECIE PRZEDRUKI Z KRAJOWEJ PRASY PODZIEMNEJ</p> <p>Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:</p> <p>SPARKASSE DER STADT BERLIN (WEST) Konto Nr. 122 001 238 2 BLZ 100 500 00 Gesellschaft Solidarność e.V.</p> <p>tub</p> <p>POSTGIRO 586 90 - 102 BLZ 100 100 10 1000 BERLIN (WEST) Gesellschaft Solidarność e.V.</p>
--	---

ne były wystąpienia byłych członków Związku Polaków pamiętających jeszcze lata 20 i 30, kiedy to sami brali udział w życiu polskich organizacji w stolicy Rzeszy.

Prelekcje o Polakach w Berlinie są organizowane przez Deutsch-Polnische Gesellschaft (Towarzystwo Niemiecko-Polskie, proreżymowa organizacja działająca w Berlinie Zachodnim) i organizację Kościoła ewangelickiego Evangelische Akademie. Mimo niewątpliwie przyjaznego nastawienia tej ostatniej do PRL, władze reżymowe w kraju nie pozwoliły na przybycie do Berlina Zachodniego dr. Hubertowi Orłowskiemu z Poznania, który w dn. 18 maja miał wygłosić prelekcję na temat polskiej awangardy w Berlinie. Dr Orłowski nie otrzymał paszportu. Jego wykład, jak podali organizatorzy, ma odbyć się 16 listopada br. st. gał.

POLSKA WYSTAWA NA 750-LECIE BERLINA

Na Freie Universität w Instytucie Badań Wschodniej Europy została w dn. 2. 06 otwarta niewielka, ale ciekawa wystawa pt. „Polen in Berlin” (Polacy w Berlinie). Na ekspozycję składają się prywatne zbiory dr. Witolda Kośnego powołanego niedawno na stanowisko profesora literatury na katedrze slawistyki w/w instytutu. Prof. dr. Witold Kośny, pochodzący ze starej berlińskiej rodziny, która do dziś zachowała pamięć, oprowadza sam po wystawie prezentując polskie pamiątki rodzinne, w tym — ciekawostka, okolicznościowy znaczek wydany w roku 1938 z okazji wielkiego kongresu Polaków w Berlinie.

Wystawa czynna jest do 19. 06. 1987, Garystr. 55, 1000 Berlin 33. ■

Listy do redakcji

Tarnów, 17. 05. 1987

Droga Redakcjo.

Z Waszym piśmie zetknąłem się już kilka razy: czytałem je w postaci mini-wydań, a ostatnio wpadły mi w ręce dwa egzemplarze zwykłego, dużego wydania. »Pogląd« podoba mi się; świetnie łączy teksty populistyczne z materiałami o charakterze intelektualnym, zawiera sporo ciekawego materiału informacyjnego, często nieznanego czytelnikowi w kraju. Poświęcacie wiele uwagi problematyce krajowej, słusznie jednak nie tracicie z oczu tego, co dzieje się w świecie. Sport, wywiady z ciekawymi ludźmi, recenzje, problematyka gospodarcza i społeczna, zagadnienia polityczne, sprawy wiary i religii — takiego wieloaspektowego oblicza mogłaby pozazdrościć »Poglądowi« niejedna krajowa gazeta.

Są oczywiście i braki. Do najdotkliwszych zaliczyłbym zbyt małą ilość materiałów reportażowych w stylu „nasz człowiek przy tym był”. Tę rolę, choć nieco w innym stylu spełniają korespondencje i komentarze z USA (pp. Kalabiński i Karkowski), które nie tylko moim zdaniem znamionuje pierwszorzędna dziennikarska robota.

(...) Zdobycie »Poglądu« w Polsce nie jest wcale proste. A mieć i czytać go warto. Jakie są możliwości częstszego kontaktu z Waszym piśmie? Czy w ogóle i jak można by je regularnie otrzymywać?

Łącząc pozdrowienia i życząc sukcesów w pracy
L. Z.

**Do Przewodniczącego
Towarzystwa „Solidarność”
Geblerstr. 10
D-1000 Berlin 62**

Proszę o przyjęcie mnie do Towarzystwa „Solidarność” jako członka wspierającego.

Imię i nazwisko:

Adres:

.....

Deklaruję roczną składkę w wysokości DM

....., dnia

.....

Podpis

IMPRESSUM

Verleger — Wydawnictwo
Gesellschaft Solidarität e.V.
Geßlerstr. 10, D—1000 Berlin 62
Redaktor odpowiedzialny
Edward Klimczak
Adres redakcji:
Postfach 62 02 24
D — 1000 Berlin 62
Tel. 030/782 93 84

Przedstawiciele, korespondenci i kolporterzy

AUSTRALIA — Andrzej Lewandowski, 905/32 Dumond Street, Bentley 6102, Tel. 09/3505094;

AUSTRIA — „Polskie Wiadomości”, A. Jaślikowski, Kolbigasse 35/15, 1030 Wien; Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien;

DANIA — Roman Śmigleński, Wora-saasvej 7, 4tv, 1972 Frederiksberg C, Tel. 01/393330;

FRANCJA — Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulet, 69400 Villefranche s/S, Tel. 74/620945;

KANADA — Krzysztof Kasprzyk, 46 Fuller Ave., Toronto, Ontario M6R 2C3; Marek Przykorski, 4760 Cote des Neiges, Montreal P.Q. H3V 1G3, Tel. 514/7355974;

NORWEGIA — Paweł Gajowniczek, Linderberggassen 32b, 1068 Oslo;

RFN — Lucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Andrzej Baranowski, Bonner Str. 35, 5300 Bonn 2; Stanisław Brodnicki, Zum Luftschacht 17, 4600 Dortmund 15, Tel. 0231/374673; Zbigniew Długolecki, Grüne Str. 11, 6000 Frankfurt/M. 1, Tel. 069/436260; Andrzej Janiszewski, Südstr. 8, 5100 Aachen, Tel. 0241/22078; Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, Tel. 089/6371213; Lech Jarmuła, Postfach 601203, 2000 Hamburg 60; Jan Kustusz, Ahornstr. 39, 5760 Arnsberg 1, Tel. 02932/22798; Tadeusz Leń, Wienerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/8567415; Marek Poliwski, Luxemburger Str. 124, 5000 Köln 41, Tel. 0221/413734; Waldemar Tymoszek, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36;

SZWECJA — Tadeusz Karolak, Box 83, 13525 Tyreso, Tel. 08/7421457;

USA — Piotr Całka, 4855 W 118th, Alsip 60658 Ill., Tel. 312/5972096; Mirosław Marecki, P.O. Box 605a, Holland, MI 49432, Tel. 616/3966207; Tamara Sochacka, 3198 Trowbridge, Hamtramck, MI 48212, Tel. 313/8711686; Andrzej Wiśniewski, P.O. Box 1785, Benthany, OK 73009; **WIELKA BRYTANIA** — Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, Tel. 01/67344456;

„Pogląd” ukazuje się od stycznia 1982 (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. — zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę prawa do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragmenty § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartijne i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.

2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)

3. Propagowanie zbliżenia kulturowego, pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)

4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i w krajach Bloku Wschodniego. (...)

5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:

6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogląd”/„Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowania, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)

7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Cena pojedynczego egzemplarza bez wysyłki

Australia	4 \$ austr.
Austria	30 ÖS
Belgia	85 bfr
Kanada	4 \$ kanad.
Dania	15 dkr
Francja	15 FF
Holandia	5 hfl
Norwegia	13,5 nkr
RPA	2,5 R
Szwecja	15 skr
USA	3,5 \$ ameryk.
Wielka Brytania	1,5 £

PRENUMERATA

kwartalna	DM 30,-
półroczna	DM 55,-
roczna	DM 100,-
Kraje europejskie:	
półroczna	DM 58,-
roczna	DM 110,-
USA, Kanada, Afryka, Ameryka Południowa:	
półroczna	DM 80,-
roczna	DM 150,-
Australia:	
półroczna	DM 100,-
roczna	DM 200,-

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za piśmnią zgodą redakcji. Zastrzegą się prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarität” e.V.
„Pogląd”
Sparkasse der Stadt Berlin West
Konto Nr. 122 001 238 2
BLZ 100 500 00
lub
Postcheckkonto
586 90 - 102
BLZ 100 100 10
Postcheckamt
1000 Berlin (West)

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak
Postgiro, Nr. 465 0809-9
dopisek: POGŁĄD

OFFSETDRUCKEREI
Hans-Jürgen Wichmann
Askanierring 155-156
1000 Berlin 20

CENA DM 4,-

Postvertriebsstück: A 9878 D
Gebühr bezahlt
Poglad, Postfach 620224,
1000 Berlin 62



LOT-em bližej